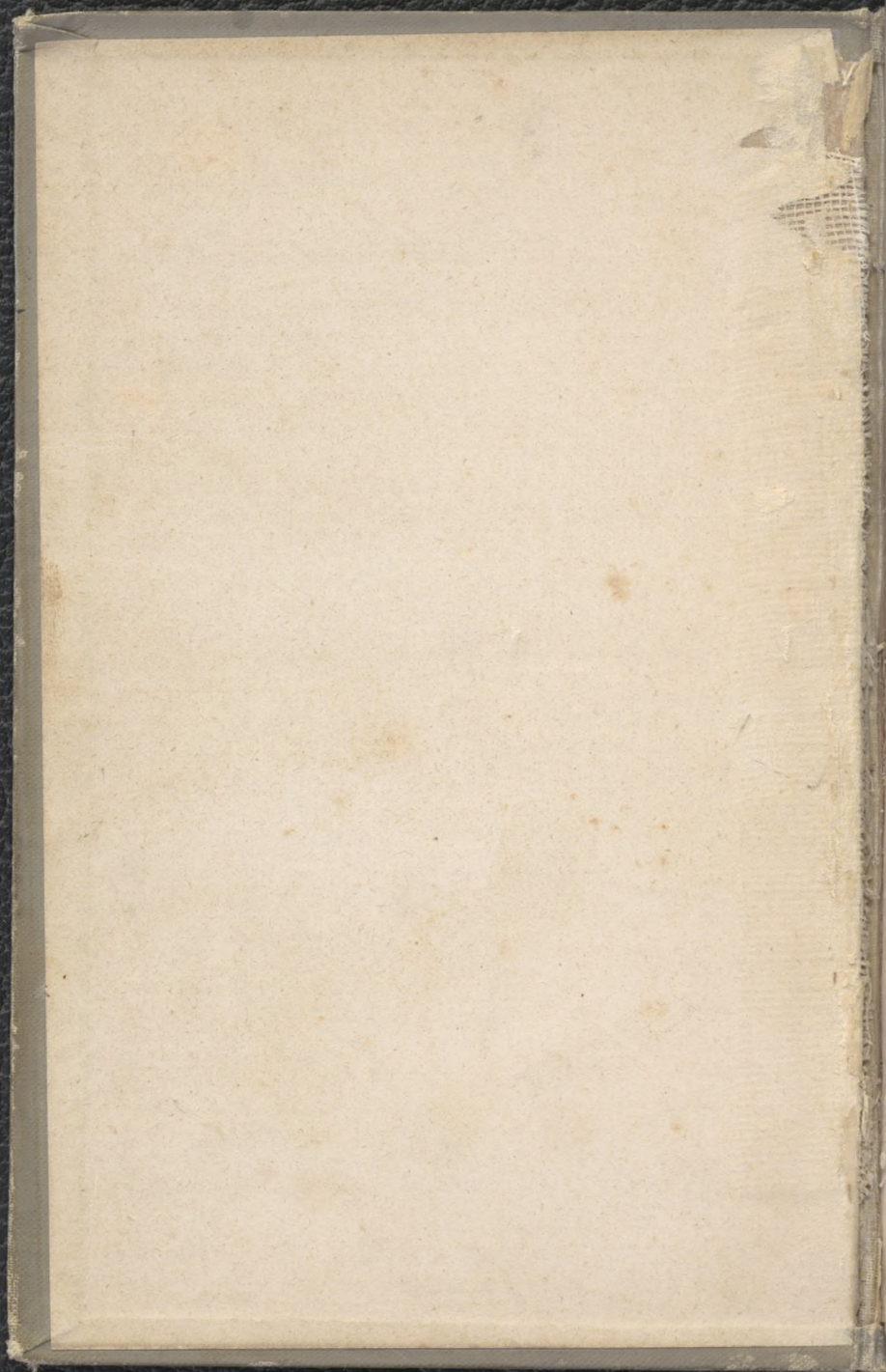


WYBÓR SENZACYJNYCH
POWIEŚCI KRYMINALNYCH



■ ■ ■ ■ FERGUS HUME ■ ■ ■ ■

ZIELONA MUMIA



ZIELONA MUMIA

WYBÓR SENZACYJNYCH
POWIEŚCI KRYMINALNYCH

TOM IV

FERGUS HUME



ZIELONA MUMIA



NAKLADEM KSIĘGARNI KOLEJOWEJ
H. ALTENBERGA WE LWOWIE ②②
② NOWY YORK ②
THE POLISH BOOK IMPORTING Co.

Cim.
BIBLIOTEKI
BN
NARODOWA

1.981.144

(A)

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCYZYCA I SPÓŁKI.

2016 K 42415

I.

Zakochani.

— Oburzona jestem na pana!

— I za cóż to, wielki Boże?

— Za to, że poważyles się kupować mnie za pieniądze!

— Byłoby to przecież niemożliwe, jesteś bez ceny w moich oczach.

— A przecież za tysiąc funtów!

— Stokrotnie większa nawet kwota nie wystarczyłaby nigdy na zrównoważenie setnej części wartości jaką przedstawiasz dla mnie, Lucy.

— Wszystko to bardzo ładnie brzmi, nie zmienia jednak faktu, żeś ofiarował za mnie tysiąc funtów.

— Czyż nie znajdziemy przyjemniejszego tematu do rozmowy, od tej gminnej kwestyi pieniężnej.

— O czemże mamy mówić?

— O miłości! droga Lucy. Widzisz to niebo błękitne jak twoje oczy, to słońce błyszczące jak twoje włosy...

— I palące jak miłość twoja — wiem już z góry, co mi powiesz.

— Nie wierzysz więc w miłość moją?

— Owszem. Aż do wysokości tysiąca funtów.

— Jesteś kobietą Lucy, nie podobna więc walczyć z tobą rozumowaniem. — Wiesz przecie że nie kupiłem Cię wcale, a tylko pożyczyłem twemu ojczymowi tysiąc funtów, za co pozwolił mi starać się o twoją rączkę.

— Nie miał żadnego prawa pozwalać albo nie pozwalając! Jest tylko przecie moim ojczymem. Dziwię się, że prosisz go o to niepotrzebne zezwolenie.

Widząc, że nie dojdzie do ładu z dziewczyną dopóki jej wszystkiego nie opowie, Archibald Hope zdecydował się zdać dokładnie sprawę narzeczonej ze sposobów w jaki zdobył sobie jej rękę.

— Gdy oświadczyłem profesorowi, że chcę się z tobą żenić, odpowiedział mi, że daleko by wolał, abyś została żoną barona Random, niż takiego malarza bez grosza jakim ja jestem. Zwróciłem wówczas jego uwagę, że to ja cię kocham a nie Random, że zresztą Random pojechał właśnie swo-

im jachtem w daleką podróż, która Bóg wie jak długo potrwa, podczas kiedy ja jestem na miejscu. Po głębszym namyśle profesor powiedział mi, że da mi możność zdobycia twojej ręki.

— Co przez to rozumiał?

— Wiesz do jakiego stopnia ojciec twój rozmiłowany jest w mumiach.

— Wiem, to przecie egiptolog.

— A właśnie. — Uczony jest bardzo i dziwię się, że nie ma tyle sławy i uznania na ile zasługuje.

Otóż wracając do rzeczy, ojcym twój wyznał mi, że pragnie gorąco nabyć mumię peruwiańską, o której wie, że jest na sprzedaż za tysiąc funtów. Mumia ta ma być obandażowana zielonemi wstążkami i zamknięta w zielonej skrzynce.

— Wiem już, wiem — po nią to posłał ojciec Boltona do Malty przed sześciu tygodniami.

— Tak. Sydnej Bolton jest tak samo zwaryowany na punkcie mumii, jak twój ojcym. — Otoż zdobyłem te pieniądze i ofiarowałem je profesorowi, a wówczas on zezwolił na nasze zaręczyny i na ślub nasz, który ma się odbyć za pół roku.

— Czy przynajmniej jesteś pewien, że w ciągu tych sześciu miesięcy nie rozporządzi inaczej moją ręką?

— Zmienna jesteś jak chorągiewka Lucy. Przed chwilą mówiłaś, że pozwolenie to jest całkiem zbyteczne, a teraz boisz się, aby ci go nie cofnął?

— Lubię dosyć profesora — odparła dziewczyna. — Był zawsze dla mnie bardzo dobry, pomimo swoich dziwactw. Przekonana jestem przecie, że będzie uszczęśliwiony skoro się mnie raz z domu pozbędzie. Pojedzie wtedy natychmiast ze swoim Boltonem, do jakiegoś tajemniczego grobu, o którym ciągle marzy.

— Ta wyprawa kosztować go będzie więcej niż tysiąc funtów. Na szczęście to już nie nasza rzecz. Dajmy zresztą pokój profesorowi i jego mumiom, kiedy Bogu dzięki jesteśmy zdrowi i szczęśliwi.

— To prawda! Jak to przecie dobrze, że przez całe sześć miesięcy, nikt nam spokoju nie zakłóci.

— Co pięć minut zmieniasz zdanie droga Lucy, widzę, że nie można liczyć na twoją stałość.

— Czy wolałbyś abym się stała podobną do wdowy Bolton, która od dwudziestu pięciu lat zdania nie zmieniała? Oto właśnie zbliża się tu jak sztandar żałobny.

Wdowa Bolton była matką Sydneja Bolton, sekretarza profesora Bradock. Straciwszy przed dwu-

dziestu pięciu laty męża, nosiła po nim grubą żałobę, z tego powodu wszyscy w okolicy nazywali ją wdową Bolton, z czego zresztą była bardzo dumną.

Mimo tak bezprzykładnej wierności dla zgasłego małżonka, wdowa Bolton wygłaszała chętnie opinie bardzo niepoehlebne dla rodu męskiego. — I teraz spotkawszy młodą parę zauważyła grobowym głosem:

— Och! moi młodzi państwo cieszyście się teraz pierwszą miłością, ale to prędko minie.

— Dla nas nigdy nie minie — odparła Lucy lekko urażona.

— To samo mówiliśmy nieboszczyk mój Aron i ja, a przecież w sześć miesięcy po ślubie mąż mój bił mnie żelazkiem do prasowania. Wszyscy mężczyźni są jednacy.

— Ładną ma pani o nas opinię — zaśmiał się Archie.

— Bo żyję długo i dużo widziałam mój młody panie. Wszyscy mężczyźni to łotry, moja panienko — dodała zwracając się do Lucy.

— A syn pani Sydnej? przecież go pani nie nazwiesz łotrem?

— Byłby nim niezawodnie gdyby tylko mógł,

bo podobny jest jak dwie krople wody do mojego Arona.

— Wstydziła by się pani mówić tak, o własnym synu. — Sydnej jest bardzo porządnym chłopcem i mój ojciec bardzo go ceni, inaczej nie posłałby go do Malty. Obaczy pani ile ciekawych historii opowie nam za powrotem.

— Jeżeli tylko powróci — jęknęła grobowo stara.

— Dlaczego pani tak mówisz?

— Z pewnością wdzięczną jestem panu profesorowi, że dał edukację memu synowi i nauczył go, jak ma chodzić koło zakamforowanych nieboszczyków, chociaż ja sama nie patrzyłabym za nie w świecie na te maskary. Ale po tem, co mi się dziś śniło, wiem dobrze, że darmobym czekała na powrót mego chłopca.

— Cóż się pani takiego śniło? — pytała ciekawie Lucy.

— Okropne rzeczy panienko. Wojna, mordy, krew. Widziałam mego Sida jak leżał w grobie z harfą w rękę i grał na niej, jak grają aniołowie.

— Tak, tak — mówiła dalej, otulając się swoim wytartym szalem. — Widziałam mego Sida jak leżał w trumnie, piękny jak cherubin, a ciało miał posiekane na kawałki.

— Jak pani może pleść takie głupstwa! — zawołał Archie z gniewem, widział bowiem, że gadanina starej wywierała wrażenie na Lucy, która zbladła jak ściana i zdawała się być blizką omdlenia.

— Czarownica z Endor mówiła mi, że taki sen musi się sprawdzić.

— Niech dyabli porwą czarownicę z Endor razem z jej głupimi prorocत्वami! Weź pani tych kilka pensów — dodał, wręczając wdowie Bolton srebrną monetę — i zapij w szyneczku twoje troski a przestanieś nam zawracać głowę swoimi snami. Wiemy przecież wszyscy, że Bolton powróci tu za parę dni, razem z mumią. To sprytny chłopak i można być pewnym, że da sobie radę w każdym położeniu.

Wdowa Bolton przyjęła z dygnięciem ofiarowane sobie pieniądze, ucieszona widocznie nadzieją paru szklaneczek grogu, którym miała zamiar uraczyć się w pobliskiej szynkowni.

— Dobry pan jesteś, panie Hope — rzekła do narzeczonego Łucyi — jak przywiozą tu ciało mego syna, to pan przyjdiesz na pogrzeb! Prawda?

To rzekłszy podreptała w stronę gospody.

— Kracze złowrogo jak wrona — zawołała po

jej odejściu Lucy oburzona tak niedorzecznem przypuszczeniem, wygłoszonem przytem z taką obojętnością. — Trudno doprawdy uwierzyć, że ta stara waryatka może być matką tak miłego i inteligentnego chłopca jak Bolton.

— Sidnej zawdzięcza wszystko profesorowi, dzięki jemu tylko stał się tem, czem jest obecnie. Przed dziesięciu laty był to zwyczajny włóczęga bez wykształcenia.

Dziś prezentuje się doskonale i nie dziwiłbym się wcale gdyby został mężem pani Jascher.

— Tylko że pani Jascher wolałaby mego ojczyma — zauważyła Łucya.

— Za to on nie zwraca na nią żadnej uwagi. Gdyby była mumią traktowałby ją o wiele lepiej. Tak jak jest, zdaje się jej wcale nie widzieć.

— Nie mów tego z taką pewnością — zauważyła Łucya. — Pani Jascher jest bardzo powabną, a przytem ma pieniądze. — Kto wie jak się to skończy.

— Widzę, że chcesz bawić się w swaty, ale chodźmy już bo spóźnimy się na obiad.

— Archie — spytała po chwili Łucya — czy wierzysz w sen pani Bolton?

— Wierzę w to, że się upiła i miewa halucynacje. Bolton powróci tu za dni parę zdrów i cały

a ty droga nie zaprzataj sobie głowy paplaniną starej pijaczki.

— Wołałabym jednak aby mi nie opowiadała takich rzeczy — rzekła Łucya ze drzeniem w głosie.

II.

Profesor Bradock.

Znany miłośnik i znawca starożytności profesor Bradock, mieszkał wraz ze swą pasierbicą Łucją we wsi Gartleg, w starym opustoszałym domu.

Dom ten wynajmował profesor za bardzo niską cenę, a to dlatego, że nikt inny mieszkać w nim nie chciał z powodu, że okolica była błotnista i niezdrowa. Budynek to był okazały, ale bardzo brzydki, za to wygodny wewnątrz.

Zbudowany z czerwonej cegły obramowanej białym kamieniem, położony był trochę za wioską, niedaleko gościńca łączącego Gartleg z sąsiednim fortem, gdzie mały oddział wojska stał zawsze załogą.

Profesor urządził sobie na parterze (dom był trzypiętrowy) całe muzeum starożytności i wykopalisk egipskich i peruwiańskich, tam też zainstalował swój gabinet do pracy.

Jadał i sypiał pośród swoich mumii i hieroglifów, ukazując się bardzo rzadko w sali jadalnej, położonej na pierwszym piętrze. Profesor nie był bogaty, i sam się chętnie przezywał gołym mędrce. Pozbawiony zupełnie zmysłu praktycznego, wiecznie roztargniony i zamyślony, zaniedbywał się w ubraniu, zapominał o jedzeniu, słowem żył w jakimś świecie zupełnie odrębnym, obojętny na codzienne wypadki życia. Trudno było zrozumieć, jakim sposobem taki człowiek mógł się ożenić, a przecież stało się to przed piętnastu laty.

W tym czasie profesor Bradock został mężem dość młodej jeszcze i dosyć majątnej wdowy, która była matką pięcioletniej córeczki imieniem Łucya. Po pięcioletniem pożyciu matka Łucyi umarła zostawiając profesorowi dożywotnią rentę pięciuset funtów, reszta jej majątku przypadła w dziedzictwie córce.

Wtedy to profesor osiedlił się w Gartleg oddawszy poprzednio pasierbicę na pensyę, gdy zaś Łucya dorosła, zabrał ją do siebie, oddał jej klucze od gospodarstwa, wyznaczył miesięczną pensyę i wrócił do swoich egipskich badań, którym się oddał z większym niż kiedykolwiek zapałem.

Pewnego dnia Łucya spodziewając się na obiad pani Jascher, nadobnej wdowy, która była najbliż-

szą ich sąsiadką, pobiegła na dół do ojczyma prosząc go, aby ogarnął się cokolwiek i przyszedł zjeść obiad wspólnie z niemi.

Otrzymaawszy żądane przyrzeczenie, Łucya wróciła na górę i zajęła się wykwintniejszym przybraniem stołu, który suto ustroiła kwiatami. Sama szczęśliwa miłością swą dla Archibalda, pragnęła uszczęśliwiać wszystkich dokoła, na pierwszym zaś planie postanowiła połączenie ojczyma swego z panią Jascher, która zdawała się gorąco pragnąć tego związku.

Uroczą wdówka przybyła punktualnie na zaproszenie, a zamiast udać się na górę, weszła odważnie do jaskini lwa, czyli innemi słowy, wstąpiła do pracowni profesora.

Bradock siedział z lupą przy oczach całkiem pogrążony w studyowaniu jakiegoś egipskiego skarabeusa. Nie zwrócił najmniejszej uwagi na wchodzącą, która nie obraziła się tem wcale, przyzwyczajoną będąc do dziwactw uczonego. Usiadła więc naprzeciw niego i przypatrywała mu się równie uważnie jak on badanemu żukowi.

Pani Jascher wyglądała najwyżej na lat 30, mimo że metryka jej wykazywała ich już 45. Rysy miała delikatne, kształty powabnie zaokrąglone, oczy duże o powłóczystem wejrzeniu i bujne ciemne

włosy cokolwiek pokręcone. Słowem w całości przedstawiała się jako kobieta wcale piękna, może nawet bardzo piękna, gdyby nie to, że była nieco za mała w stosunku zwłaszcza do rosnącej z wiekiem tuszy.

Profesor Bradock wyglądał także bardzo młodo na swoje lata. Miał ich już 50 z okładem, a niktby tego po nim nie poznał, tak świeżą miał cerę, tak żywe i błyszczące oczy. Średniego wzrostu i tuszy, miał piękne myślące czoło, oczy niebieskie jak turkusy, ręce i nogi drobne jak u kobiety. Dolna tylko część twarzy nie harmonizowała z całością; było w niej coś brutalnego, a szczęka dolna wysunięta naprzód i silnie rozwinięta, byłaby raczej na miejscu w twarzy cyrkowego atlety niż człowieka oddanego wyłącznie nauce.

— Nie musi być łatwym w pożyciu — myślała pani Jascher, a gdybym wyszła za niego żyć bym musiała wciąż wśród tych egipskich nieboszczyków, których towarzystwo nie nęci mnie bynajmniej. Za stara już jestem na takie próby.

Srebrne wygładzone zwierciadło wiszące na przeciwległej ścianie odbijało wdzięczną jej postać jak niegdyś zalotnych Egipcyanek z których grobu było dobyte. Patrząc w nie pani Jascher musiała przyznać sama, że jest jeszcze bardzo ponętą

i uśmiechnęła się z lekka na myśl, jak dalece przymiotnik »stara« nieodpowiednim był w zastosowaniu do niej.

Poruszyła się z wdziękiem szeleszcząc fularową suknią, z której wydzielala się delikatna woń chińskiej perfumy.

Perfumy te otrzymywała uroczą wdówka, prosto z Chin od jednego z przyjaciół zmarłego jej męża. I nikt w całej Anglii nie używał podobnych. Woń ich była bardzo przyjemna, a tak charakterystyczna dla pani Jascher, że znajomi jej utrzymywali, że poznać by ją mogli po nich wśród największej ciemności, lub pod najdziwaczniejszym przebraniem.

Profesor podniósł wreszcie wzrok od mistycznego skarabeusa i raczył zauważyć obecność swego gościa. Powstał wtedy z miejsca i postąpił na spotkanie wdowy, która wstała także wyciągając ku niemu rękę.

Stojąc tak naprzeciw siebie, wyglądali jak dwie figurynki saskie zdjęte na chwilę z etażerki.

— Czy pani do nas na obiad? — pytał bez wstępu profesor.

— Lucy zaprosiła mnie od tygodnia, czyż byś pan o tem nie wiedział — odparła wdowa lekko urażona tą krótką pamięcią swego wielbiciela.

— Czy tak? A to zjesz pani doskonały obiad, bo Lucy jest wyborną gospodynią chociaż jest bardzo uparta. Wyobraź pani sobie, że pasierbica moja nie chciała w żaden sposób sporządzić egipskiej potrawy, której przepis znalazłem w jednym z papirusów.

— I doskonale zrobiła — zawołała żywo pani Jascher. — Nie mam zupełnie zaufania do tych egipskich specyałów, tak samo jak nie pragnęłabym wcale zostać mumią zanim moja godzina nadejdzie.

— A jednak jakaby to z pani była wspaniała mumia! Z jaką przyjemnością podjąłbym się balsamowania ciała pani po śmierci, o ile by pani nie wolała zostać spaloną w piecu kremacyjnym.

— Okropny pan jesteś — zawołała pani Jascher, blednąc mimowoli. — Widzę, że zapakowałby pan mnie bardzo chętnie do jednego z tych ohydnych sarkofagów.

— Ohydne sarkofagi! — krzyknął profesor z oburzeniem, które nie wróżyło pomyślnego końca rozmowy, gdyż uczony był niezmiernie prędko i zapalny jak siarka. — I pani śmiesz się tak wyrażać o arcydziełach starożytnej kultury? I cóż cię upoważnia do tego, atomie mułu i gliny?

Na szczęście w tej chwili właśnie wpadła Lucy z Archibaldem, wołając że obiad na stole.

— Ratusz mnie pan! — zawołała wdówka, ujmując ramię Archibalda. — Profesor chce mnie za życia balsamować!

III.

Tajemniczy grób.

W domu profesora znajdowała się jeszcze jedna dziwna istota, wyglądająca tak fantastycznie jak gdyby jedno z bóstw wyrzeźbionych na sarkofagach zstąpiło nagle pomiędzy żyjących.

Był to Kanak, pochodzący z wysp Polinezyjskich, którego Bradock przywiózł z jednej ze swych podróży. Dziwny ten człowiek był właściwie karłem o długich muskularnych rękach i krótkich mocnych nogach. Cerę miał jasno-brązową jak wszyscy Polinezyjczycy, a ciało jego było tatuowane w rozmaite desenie mające, jak twierdził profesor głębsze symboliczne znaczenie. Twarz miał wcale piękną, mianowicie wspaniałe oczy, czarne jak aksamit i bardzo melancholijne. Najbardziej zaś uderzała w nim strzępiasta kędzierzawa czupryna,

pomalowana na kolor płomiennie żółty jakąś szczególną farbą, której sekret on sam tylko posiadał.

Z powodu tego żółtego czuba, przewzano go Kakatoes i w istocie ubrany całkiem biało z swoją żółtą głową przypominał australijskie papugi noszące to miano.

Kakatoes pochodził z wysp Salomona w Australii; w dzieciństwie jeszcze przedany został przez ludzi swego plemienia do robót na plantacjach. Tam poznał go profesor, a wykupiwszy wziął do siebie jako służącego. Kakatoes umiał już wtedy po angielsku, a przywiązał się tak do swego nowego pana, że nie chcąc go opuszczać popłynął wraz z nim do Europy.

Obcując wciąż z ludźmi oświeconymi, przejął od nich pewną zewnętrzną cywilizację, zachował jednak zawsze na dnie wrodzoną dzikość, która wybuchała niekiedy na zewnątrz w atakach straszego gniewu. Wtedy jedno słówko profesora wystarczyło aby go uśmierzyć; poza tem jednak nikt inny nie miał na niego wpływu. Bradocka czcił jak bóstwo i był mu na skinienie posłuszny.

Spędzał też całe dni w muzeum profesora, utrzymując w porządku jego zbiory, lecz nieopuszczany był do innych usług, bo Lucya miała do niego odrazę i niepozwalala mu stanawczo uwi-

jać się po pokojach górnych pięter. W rzadkich tylko wypadkach usługiwał przy stole, najczęściej wtedy gdy był kto z gości.

Tak też było i dziś. — Kakatoes roznosił cicho i zręcznie półmiski, czujny na każde życzenie biesiadników. Pani Jascher dzieliła wstręt Łucyi do niego i obie usuwały się ze wstrętem ile razy przechodząc otarł się o ich suknie.

— Nie znoszę tego karła! — szepnęła pani Jascher gospodarzowi — po prostu wzdrygam się ile razy do mnie się zbliży.

— Uprzedzenie, łaskawa pani — odparł Braddock. — Korzysta przecież pani z usług domowych zwierząt — a czemuż jest on innym jeśli nie cywilizowanem zwierzęciem.

— Może być czasem niebezpieczny.

— Wtedy tylko gdy w złość wpadnie, ale w takich nawet chwilach ulega mojej władzy.

— Prawdę mówiąc — zauważył wesoło Hope — byłby o wiele wyżej na swoim miejscu obsługując ucztę ludożerców.

— Nie mów tak, bo wstanę od stołu — zagroziła Łucya.

— Ależ owszem, możemy rozmawiać o czem innym naprzykład o tutejszej okolicy, która nie jest wcale wesoła. Nie rozumiem doprawdy co może

tu robić tak światowa jak pani osoba — dodał zwracając się do pani Jascher.

— Jest widocznie jakiś magnes, który mnie tu przyciąga — odparła zalotnie wdowa rzucając powłóczyście spojrzenie w stronę profesora. — Żart na stronę — dodała po chwili — dworek mój jest bardzo miły, a płacę bardzo tanio za jego najem.

Teraz zmuszoną jestem oszczędzać się, bo mąż mój który był konsulem w Chinach nie zostawił mi żadnego majątku. Wkrótce jednak położenie moje zmieni się, czeka mnie bowiem znaczne dziedzictwo po bracie.

Lucya słuchała z pewnem zdziwieniem tych wynurzeń zalotnej wdowy.

Profesor za to nie zwracał na nie uwagi kreśląc z roztargnieniem jakieś hieroglify widelcem po obrusie.

— Czy to już koniec obiadu? — spytał nagle Lucyę — bo jeżeli tak, to pójdę do siebie. Mam dziś bardzo wiele do roboty. — Ileż to skarbów mieści w sobie ten stary Egipt! Naprzykład grobowiec królowej Tahazar, ulubionej żony biblijnego Faraona.

— Tego co zginął w Morzu Czerwonym? — spytał naiwnie Hope.

— Właśnie tego — tylko że stało się to w ja-

kiś czas dopiero po śmierci królowej Tahazar. Znalazłem w muzeum w Kairze ciekawe dokumenta, które dowodzą, że królowa ta pochowana została w Etiopii, ze wszystkimi swoimi klejnotami i z częścią skarbów króla Faraona. Znajdować się tam mają również dokumenta nieoszacowanej wartości. Cóż kiedy taka wyprawa kosztowałaby najmniej 5000 funtów — westchnął profesor wstając od stołu i chodząc wielkimi krokami po pokoju. Widocznem było, że zapomniał zupełnie o obiedzie i gościach.

— Bardzobym chciała widzieć te egipskie klejnoty — mówiła pani Jascher. — Skoro tylko odziedziczę spadek po bracie pożyczę panu pieniądze na tę wyprawę.

— Czy tak? — rzekł żywo Bradock. — W takim razie chwytam panią za słowo. — Mówiąc to chwycił rękę wdowy ściskając ją z całej mocy.

— Ależ owszem, nie cofam się — odrzekła wdowa trochę jednak zmieszana tak obcesową propozycją.

Łucya była bardzo niezadowoloną z takiego obrotu rozmowy,

— Siadaj ojeze! — rzekła niecierpliwie — i skończ wreszcie obiad. Będiesz miał i tak dość do roboty, skoro ci przywiozą twoją mumię.

— Jaką mumię? — zapytał z roztargnieniem profesor, nabierając śmietany.

— Mumię peruwiańską Inka...

— Inka Kaksas. A tak, Sidnej przywiezie mi ją wkrótce z Malty. Gdy odwinę ją z zielonych powijaków znajdę...

Tu profesor zatrzymał się nagle.

— Cóż pan tam znajdzie? — pytał Archie, widząc, że profesor nie kończy rozpoczętego zdania.

Bradock spojrzał na niego z ukosa.

— Prawdopodobnie znajdę tam zupełnie nowy przepis balsamowania ciał na sposób peruwiański.

Archie był prawie zupełnie pewny, że profesor nie powiedział prawdy i ukrywa coś przed nimi.

— No! odbyłem wreszcie tę pańszczyznę — rzekł Bradock, wstając od stołu i kierując się ku drzwiom. — Chodź Kakatoes! czas już nam zabrać się do roboty.

I odszedł nie zadając sobie trudu usprawiedliwienia się przed panią Jascher. Kakatoes poszedł za nim.

IV.

Straszna niespodzianka.

W kilka dni po owym proszonym obiedzie, Archibald Hope przechadzał się znów ze swą narzeczoną po ścieżkach parku otaczającego »Wille pod piramidami« (tak nazwał profesor dom w którym mieszkał wraz ze swojemi mumiami). Rozmawiając z Łucyą Hope wyraził znowu obawę, że profesor zechce ofiarować jej rękę Frankowi Bandom wzamian za nową pożyczkę. Słyszac to dziewczyna, poczerwieniała z oburzenia, a oczy jej pałały gniewem.

— Mój ojczym robić może co mu się podoba, jest mi to zupełnie obojętne, nie pozwolę frymarchyć sobą dla zadowolenia jego wstrętnych manii, a jeśli zechcę to dziś jeszcze zostanę twoją żoną. No a teraz chodź ze mną patrzeć na rozpakowanie mumii.

— Więc przyjechała wreszcie?

— Jeszcze nie, ale nadjedzie niebawem. Ojcym mój oczekuje jej o trzeciej.

— To znaczy za kwadrans — rzekł Archie, patrząc na zegarek. — Byłem wczoraj w Londynie, ale nie przyszło mi na myśl udać się do portu dla dowiedzenia się czy *Nurek* już przyłynął. Wszakże to na Nurku odbywał Bolton swoją podróż. A cóż Bolton? ma się zapewne zupełnie dobrze.

Lucya zmarszczyła brwi.

— To właśnie dręczy mnie że Sidneja dotąd niema.

— Jak to niema?

— Ojcym mój otrzymał wczoraj od niego list donoszący, że statek na którym płynął wraz z mamią, zawinął do portu o 4-ej popołudniu. List przyszedł tu expresem o 6-ej, to jest we dwie godziny po przybyciu statku.

— Cóż więc? — pytał Hope.

— Sidnej pisał w swym liście, że zapóźno by już było wyprawiać mumię tego samego dnia i że z tego powodu zabierze ją do hotelu i przenocuje wraz z nią w Londynie.

— Nie widzę w tem nic zatrważającego.

— Tak, ale dziś rano nadszedł znowu list, ale już nie od Boltona, tylko od właściciela hotelu. W liście tym ów pan donosi — że stosownie do rozporządzeń zostawionych przez Boltona, mumia przewieziona dziś będzie do nas i stanie na miejscu dziś o trzeciej.

— A więc? — pytał Hope.

— A więc, czyż nie widzisz sam jak dziwnem jest, że Bolton, który czuwał nieodstępnie nad mumią przez cały ciąg podróży, a także przez ostatnią noc w hotelu, pozwala jednak wyprawić ją bez siebie i nie towarzyszy jej do Piramid.

— Wyjaśni nam to sam skoro się tu ukaże.

— Tymczasem ojczym jest wściekły, boi się aby mu kto nie ukradł mumii.

— Kto by się tam łakomił na takie rzeczy!

— Ma to przecież wartość najmniej tysiąca funtów — odrzekła Lucya.

— Chodźmy więc na spotkanie sławetnego gościa — zaproponował Archie.

Przeszli ogród i obeszlili dom na około, aż zatrzymali się przed gankiem. Ogromny wóz, zaprzężony dwoma końmi, stał już tam, ale nie było widać żadnego pakunku. Widocznie wniesiono już do domu skrzynię zawierającą mumię.

— Czy pan Bolton przyjechał ze skrzynką? — spytała Łucya woźnicy.

— Nikt nie przyjechał miss, prócz mnie i dwóch jeszcze ludzi, którzy znieśli pakę do domu.

— Ale pan Bolton był w hotelu gdyście wyjeżdżali?

— Nie widziałem go miss, to jest nie wiem kto jest pan Bolton. Nasz pan, właściciel hotelu »*Spo-czynek marynarzy*« kazał nam przywieźć tu pakę. Tak też i zrobiliśmy. Więcej nie wiem.

— Czy nie znajdujesz, że to wszystko jest bardzo dziwne? — spytała Łucya Archibalda.

Hope potwierdził skinieniem głowy.

— Bolton przyjedzie jeszcze zapewne — rzekł, byle coś powiedzieć.

I weszli oboje do wnętrza domu. Znaleźli profesora karmazynowego ze złości i klnącego na czem świat stoi. Przed nim stała duża drewniana paka, obok której klęczał Kakatoes, trzymając w rękę narzędzia potrzebne do odpakowania przywiezionego skarbu.

— Sidnej powinien był więcej uważać na przedmiot powierzony sobie z takim zaufaniem. Paka jest zniszczona, zepsuta, połamana, roztrzęsiona! — krzyczał Bradock.

Wytoczę proces kapitanowi »Nurka« jeżeli tylko moja mumia została uszkodzona.

— Cóż na to Bolton? — pytał Archie, szukając wzrokiem delikwenta.

— Co na to Bolton? — krzyczał profesor, wydzierając młotek z rąk Kakatoesa — cóż ma łotr mówić kiedy go niema.

— Niema go? — zawołała Łucya coraz bardziej zdumiona nieobecnością sekretarza. — Gdzież jest w takim razie?

— Nie wiem — grzmiał profesor — ale jak się tylko dowiem, oddam go w ręce policyi za niedbalstwo i nieuczciwość, a jeżeli się tu pokaże, to go wypędzę i zabronię mu wstępu do mego domu, niech idzie do starej czarownicy, która jest jego matką.

Mówiąc to Bradock, wbijał ostry nóż pomiędzy spojenia paki i tłukł w nie młotkiem tak żarcie, jakby miał pod ręką czaszkę Boltona. W chwili, gdy Bradock podważał przykrywę paki z pomocą Kakatoesa, jakiś głos żałosny dał się słyszeć od progu. Archie i Łucya odwrócili się i zobaczyli wdowę Bolton, bardziej jeszcze obszarpaną i brudną i zawsze równie grobową.

Dygnęła nisko wchodząc do sali.

— Przepraszam panienko — jęknęła nad głową

Lucyi — proszę mi powiedzieć czy Sid przyjechał?

— Widziałam już trumnę — ale gdzież mój chłopiec?

— Trumnę! jaką trumnę? — ryczał Bradock, nie przestając walić młotkiem po skrzyni. — Dlaczego pani nazywasz tę pakę trumną?

— A czyż nie leży w niej zakamfarowany nieboszczyk? — odrzekła wdowa Bolton z nowym dygiem. — Przecie Sid mówił mi wyjeżdżając, że jedzie po trumnę.

— A widziałas go pani po powrocie?

— Nie widziałam i pewnie nie zobaczę — mówiła żałośnie wdowa.

— Nie mówże głupstw kobieto! — krzyknął na nią Archie.

— Kobieto! proszę. O Jezu! jakże mnie pan przestraszył — krzyknęła wdowa Anna odskakując w tył, na widok odbitej pokrywy upadającej na podłogę.

Bradock nie słyszał już nic, tylko wyjmował sam pełnemi garściami słomę i wióry użyte do opakowania mumii.

Wkrótce cała podłoga zasłana była trocinami, mimo to nie było widać zielonej skrzynki zawierającej mumię.

Nagle wdowa Bolton krzyknęła rozdzierającym głosem:

— Sid! mój syn, nieżywy! umarł! umarł!

Mówiła prawdę. Przed nią leżało martwe ciało Sidneja Bolton umieszczone w pace na miejscu mumii.

V.

Tajemnica.

Na ten widok zapanowało głucho milczenie, przerywane tylko jękami Anny Bolton. Straszliwa zawartość paki, budziła przestach i grozę wśród obecnych osób. Lucya blada i drżąca chwyciła się kurczowo ramienia narzeczonego, aby nie paść na ziemię jak matka zabitego. Archie nie mógł oderwać wzroku od martwego ciała Sidneja, przerażającego swą sztywną nieruchomością. Profesor zdawał się nierozumieć tego co miał przed oczyma.

Jeden tylko Kakatoes przykucnięty swoim zwyczajem na piętach nie odniósł żadnego wrażenia. Wodził obojętnie oczyma po twarzach obecnych, to znowu przenosił wzrok na trupa, nie zdradzając najmniejszego wzruszenia. Bradock, który w zdziwieniu swoim upuścił na ziemię młotek i nożyce

odzyskał już zimną krew, a pierwsze jego słowa zdradziły potworny egoizm uczonego, pochłoniętego jedyną namiętnością.

— Gdzież jest mumia Inka-Kaksasa? — spytał półgłosem.

Słyszac to Anna Bolton, która leżac na podłodze wrywała sobie włosy z rozpaczy, zawołała ochrypłym głosem:

— Słuchajcie tylko, czego on żałuje? O czem myśli? On, który zamordował mego syna!

— Jak śmiesz tak mówić — przerwał jej szorstko Bradock. — I pocóż bym miał mordować twego syna? Nie przyniosło by mi to żadnej korzyści.

— A to już Bóg jeden wie, na co to panu było przydatne, ale to pan...

— Bredzicie matko Bolton — przerwał jej żywo Hope, usiłując podnieść ją z ziemi — odejdźcie stąd najlepiej, a i ty Lucy oddal się, to widok nie dla ciebie.

Lucya niema z przerażenia przyzwoliła skinieniem głowy i wyszła słaniając się prawie, ale Anna Bolton nie chciała się ruszyć z miejsca.

— Mój syn zabity! — jęczała — leży tak, jak go widziałam w moim śnie, pocięty na kawałki.

— Co za niedorzeczność — przerwał Bradock,

badając uważnym wzrokiem wnętrze paki — niema nawet śladu żadnej rany.

Wdowa Bolton zerwała się z szybkością zadziwiającą u kobiety w tym wieku.

— Puście mnie — zawołała — już ja znajdę miejsce rany na ciele mojego chłopca.

Hope wstrzymał ją silną ręką, a ująwszy pod ramię usiłował wyprowadzić.

— Nikt niema prawa dotknąć trupa do czasu przybycia policyi — rzekł stanowczo.

— Policya! ach prawda — zawołał żywo Bradock. — Trzeba posłać natychmiast do Pierreside po policyę, uwiadomić inspektora o kradzieży mojej mumii.

— Przedewszystkiem o morderstwie — zauważył Hope z pewnym naciskiem.

— Co go to obchodzi, że zamordowano mego syna! — krzyczała wdowa Bolton, wznosząc groźnie pomarszczoną dłoń i usiłując wyrwać się z rąk Archibalda. — Stary szatan zabił mojego syna, bo Sid nie byłby umarł, gdyby go nie był posyłał do tych zagranicznych krajów. Odwołam się do sądu i będę go póty oskarżać, aż go powieszają! Tak! powieszają go!

Bradock stracił wreszcie cierpliwość pod tym gradem zarzutów i rzucił się na starą wlokąc za

sobą Kakatoesa. Z pomocą karła wypchnął prawie kobietę wraz z Archibaldem na korytarz, gdzie stała jeszcze Łucya.

Na rozkaz profesora Kakatoes zamknął na klucz drzwi od muzeum.

— Nikt się nie dotknie paki do czasu przybycia inspektora, ty jesteś świadkiem Hope, że nie zbliżyłem się do trupa. Byłeś obecny przy rozpakowaniu skrzyni i możesz zaświadczyć, że znalazłem w niej bezwartościowe zwłoki, zamiast kosztownej mumii, na którą wydałem tysiąc funtów. Zabierzcie mi teraz z oczu, tę starą czarownicę która śmie...

Bradock nie skończył, bo dusił się z wściekłości.

Archie próbował go uspokoić.

— Biedna kobieta jest nieprzytomna z bólu i sama nie wie co mówi. Pójdę zaraz na policję a wtedy...

— Nie trzeba — przerwał szorstko Bradock. — Kakatoes uprzedzi policję i sprowadzi sędziego pokoju z Gartleg. Pan weźmiesz tymczasem klucz i będziesz go trzymał u siebie. — Mówiąc to wsunął klucz od muzeum do kieszeni Archibalda. — Gdy policya nadejdzie będziesz mógł poświadczyć, że nikt nie dotknął się zwłok Boltona. Ty zaś stara

czarownico — dodał, zwracając się do Anny Bolton — wynoś się stąd natychmiast i żeby tu twoja noga nie powstała!

— Chciałabym zostać przy ciele mego Sida — prosiła stara. Niech się pan na mnie nie gniewa, nie chciałam powiedzieć...

— Ale powiedziałaś jędo, precz mi z oczu natychmiast!

Wdała się w to Łucya i zabrała biedną matkę do swych pokoi na górze, gdzie otoczyła ją szczerą pieczołowitością. Profesor pienieł się z gniewu.

— Nie dość, że straciłem tak cenną mumię, olbrzymiej wartości historycznej i archeologicznej, trzeba jeszcze żebym zmuszony był słuchać obelżywych skarg tej starej waryatki.

Tymczasem Łucya i Hope znikli gdzieś wraz z Anną Bolton. Profesor szukać zaczął Archibalda w ogrodzie, gdzie obaczył nagle idącego po gościńcu wiejskiego doktora z Gartleg.

— Hola panie doktorze — wołał profesor zasapany i spocony — proszę chodź pan tutaj, obecność pańska jest konieczną w Piramidach.

Doktor, który znał dziwactwa profesora zbliżył się z uśmiechem.

Był to człowiek młody jeszcze, o twarzy sym-

patycznej, nie zdradzającej jednak nadprzyrodzonej inteligencji.

— Cóż się to stało profesorze — rzekł spokojnie — mam nadzieję, że nie grozi panu atak apoplektyczny, mimo że czerwony pan jesteś jak pomidor. Uspokój się drogi panie, bo wzruszenie może ci zaszkodzić.

— Rozumujesz pan jak głupiec, doktorze — warknął oburzony Bradock — ja jestem zupełnie zdrow, ale Bolton...

— Bolton — przerwał z zajęciem doktor — więc przyjechał już z mumią?

— Z mumią! — ryknął doktor — właśnie, że mumii wcale niema, a Bolton jest nieżywy. — Mówiąc to, włókł za sobą doktora, zmuszając go do przeskakiwania po kilka stopni naraz.

— Bolton nieżywy! cóż się to stało, czy umarł nagle? — pytał doktor coraz bardziej zdumiony.

— Właśnie, że nie umarł. Zamordowano go, a ciało jego przysłano mi w pace, w której powinna się była znajdować zielona mumia.

Chodź pan zobaczyc trupa, chociaż nie — wołał, odpychając doktora równie gwałtownie jak go był wciągnął — musimy czekać na policję i sędziego pokoju — oni pierwsi muszą go widzieć.

— Czyż to możliwe profesorze? może się panu wydało?

Bradock chodził wielkimi krokami po pokoju wznosząc ręce ku niebu, na znak oburzenia.

— Wydało mi się? Chodź pan obacz sam, że jest zamordowany.

— Ale przez kogo?

— Skądże u dyabła mogę wiedzieć?

— Czemu go zabito? nożem czy może strzelono do niego?

— Nie wiem, nic nie wiem. Matka jego przyszła tu wyprawiać awanturę. Ale otoż i Hope! wraz z sędzią pokoju Painterem. Chodźcie panowie, doktor już jest. Hope dawaj klucz. Otwórzcie panowie muzeum, a może uda się nam odkryć motyw tej nikczemnej kradzieży.

— Kradzieży panie? — spytał zdziwiony Painter.

— Oczywiście kradzieży — jak możesz pan stawiać mi tak idyotyczne pytanie? Skradziono mi mumię.

— Sądziłem z tego co mi opowiadał pan Hope, że popełniono morderstwo.

— A tak, tak, jest i morderstwo — mruknął profesor niechętnie, jak gdyby morderstwo biednego Boltona było faktem zupełnie drugorzędnym. —

Zamordowano prawdopodobnie mego sekretarza, bo trudno przypuścić, aby się mógł sam zapakować i zagwoździć w skrzyni. Ale przedewszystkiem chodzi mi o mumię, za którą zapłaciłem tysiąc funtów. Czy rozumiesz panie Painter co to mumia? Chodźcie panowie proszę. Doktorze idź opatrz zwłoki, a Painter wyda opinię o przyczynach kradzieży.

— Z pewnością morderca musiał ukryć mumię i złożył na jej miejscu zwłoki Boltona — zauważył Hope.

— Mówisz rzeczy elementarne — syknął Braddock. — Wszyscy wiemy, że morderca Boltona musiał ukraść mumię — ale kto jest ów zbrodzień? jak się nazywa?

Tymczasem sędzia i lekarz dokonywali urzędowych oględzin. Twarz zabitego była sino-czarna, oczy wyszły mu na wierzch. Rozwiąawszy czerwoną chustkę, którą miał na szyi, odkryto pod nią sznurek zaciśnięty mocno dokoła szyi. Nie było wątpliwości, że Sidnej Bolton został uduszony.

— Udużono biedaka — zauważył doktor — wartoby jednak przyjrzeć się dokładnie trupowi.

— Z tem zaczekać musimy na przybycie inspektora — rzekł Painter.

— Biedny Sid! znałem go gdy jeszcze do szkół chodził, kto by pomyślał, że tak skończy. Ale kto? kto go mógł zamordować?

Na pytanie to nie było odpowiedzi.

VI.

Śledztwo.

Gartleg do niedawna jeszcze zapadła, mało uczęszczana wioszczyna, stała się naraz miejscem głośnym na wszystkie trzy królestwa, a nazwa jej nie schodziła ze szpalt wszystkich dzienników. Pomimo wszelkich usiłowań, ani przywołany na miejsce zbrodni inspektor Date, ani prywatny detektyw sprowadzony umyślnie przez profesora, nie odkryli żadnego śladu mordercy. Dzienniki zdały sprawę z toku dochodzenia w takich mniej więcej słowach:

»Parowiec *Nurek*, należący do kapitana Herwey przybił o godzinie 4-ej po południu do portu w Piereside. We dwie godziny później Sidnej Bolton, który odbywał drogę na tym parowcu wysiadł na ląd wraz ze skrzynką zawierającą zieloną mumię. Ponieważ było już zapóźno na udanie się

w dalszą drogę, Bolton zatrzymał się w hotelu *Spoczynek marynarzy*. Hotel ten, a właściwie gospoda nawiedzana wyłącznie prawie przez marynarzy nie cieszy się zbyt dobrą sławą. — Boltona widziano po raz ostatni o godzinie 8-ej wieczorem pijącego piwo w restauracji hotelowej. Udając się na spoczynek, polecił gospodarzowi, by tenże odeśłał nazajutrz pakę z mumią profesorowi Bradock do Gartleg. Bolton zapowiadał przytem, że sam wyjedzie z hotelu wczesnym rankiem, aby uwiadomić profesora o szczęśliwem przybyciu nabytej przez niego osobliwości.

Bolton uregulował jeszcze z wieczora rachunek hotelowy i podług świadectwa tych, którzy go wtedy widzieli, nic nie zdradzało w nim zamiarów samobójczych — lub też obawy jakiegoś grożącego mu niebezpieczeństwa.

Nazajutrz znaleziono pokój jego pusty, nie zdziwiło to jednak nikogo, ponieważ sam zapowiedział swój wczesny wyjazd. Pokojowa tylko zdziwiła się, że mógł tak wyjść przez nikogo niewidziany. Gospodarz domu, stosując się do zlecenia, jakie otrzymał od Boltona, wyprawił pakę z mumią do wsi Gartleg pod adresem profesora Bradock, mieszkającego w willi Piramidy. Łatwo wystawić sobie zdumienie i przerażenie uczonego, gdy w miejsce

spodziewanej mumii, ujrzał zwłoki nieszczęśliwego swego sekretarza uduszonego sznurkiem od firanki«.

Tak brzmiały doniesienia dzienników.

Wdowa Bolton prosiła, aby złożono w jej mieszkaniu ciało zabitego jej syna. Profesor zgodził się na to chętnie, świeży nieboszczyk bowiem nie miał w jego oczach takiej wartości, jak starożytne szczątki peruwiańskich i egipskich władców. Umieszczono więc zwłoki młodego sekretarza w skromnym mieszkaniu jego matki, i tam oglądała je policja i sędziowie przysięgli.

Przewodniczący trybunału, wygłosił krótką przemowę, w której przypomniał wszystkie ważniejsze fakta, związane z tajemniczym morderstwem. — Przedłożono sędziom plan oberży *Spoczynek marynarzy*, a przewodniczący zwrócił uwagę dwunastu poczciwych ludzi, stanowiących skład trybunału, że ofiara zajmowała pokój na parterze z oknami wychodzącymi na Tamizę.

— Możecie sobie panowie łatwo zdać sprawę z faktu, że zabójca wymknąć się mógł bez trudności. Położenie to sprzyjało znakomicie ucieczce. Po prostu otworzył sobie okno wśród nocy, spuścił skrzynkę z mumią współnikowi swemu, który tam na niego czekał, a że musieli mieć łódkę w pogo-

towiu, odpłynęli natychmiast na środek rzeki, gdzie wszelki ślad po nich zaginął.

Inspektor Date, zauważył wtedy, że niema żadnej pewności, czy zbrodniarz miał współników.

— Być może, że to, co pan twierdzisz jest prawdą — mówił on tonem dowódcy rozkazującego podkomendnym — ale nie możesz pan przytoczyć żadnego materyalnego dowodu. Wobec tego przypuszczenie pańskie ma charakter czysto okolicznościowy.

— Właśnie to samo twierdziłem — odparł sucho przewodniczący. — Zamiast tracić czas na takie uwagi, zechciej pan raczej powołać świadków.

Date spiorunował wzrokiem przewodniczącego i prosił profesora Bradock o złożenie zeznania.

Bradock utrzymał się bardziej niż kiedykolwiek w roli gniewnego cherubina i składał zeznania z nietajoną irytacją. Opowiedział, jak przeczytałszy w dziennikach anons o wystawionej na sprzedaż mumii, wysłał do Malty swego sekretarza z poleceniem kupienia jej i przywiezienia do Anglii.

To, co się stało po przybyciu statku do portu, znane już jest wszystkim, dzięki rolgłosowi nadanemu zdarzeniu temu przez prasę.

— Prasa — mówił Bradock — zachowuje się w tej sprawie bardzo niewłaściwie.

— Co pan przez to rozumie? — spytał kwaśno przewodniczący.

— Rozumiem przez to — odrzekł tymże tonem Bradock — że takie publikowanie wszystkich szczegółów zbrodni, jest doskonałą usługą dla złooczyńcy, który będąc ostrzeżony, mieć się będzie na baczności. Jest to najpewniejszy sposób ochrony zabójcy.

— A czy pan jest pewien, że to nie była zabójczyni? — pochwycił przewodniczący.

— Głupstwa pan mówisz — kobieta nie ukradłaby mojej mumii. Cóż u dyabła kobieta mogłaby robić z taką rzeczą.

— Wyrażaj się pan oględniej! — zgromił go przewodniczący.

— A pan wyrażaj się rozumniej.

Zamienili z sobą kilka piorunujących spojrzeń, po chwili jednak atmosfera wypogodziła się i profesor odpowiedział stosunkowo spokojnie na kilka pytań dotyczących wyłączenie sprawy.

— Czy nieboszczyk miał nieprzyjaciół?

— O nie, nie był ani dość uczony, ani dość sławny, ani dość bogaty, aby ściągnąć na siebie nienawiść swoich bliźnich. Był to sobie poprostu dość inteligentny chłopak, pracujący pod moim kierunkiem. Matka jego jest praczką — on zaś przy-

nosił mi od niej bieliznę, gdy był jeszcze dzieckiem. Zauważywszy jego spryt i chęć wyniesienia się ponad sferę w której się urodził, wziąłem go do siebie i kształciłem na swego pomocnika. Z czasem wtajemniczyłem go w niektóre moje prace.

— Zapewne archeologiczne?

— A jakieżby inne? Nie trudniłem się przecie praniem bielizny, jak matka Boltona i po co pan zadajesz takie głupie pytania.

— Po raz drugi przywołuję pana do porządku — zawołał przewodniczący, czerwony jak piwonia z oburzenia. — Czy mógłbyś pan wskazać kogoś, komu by zależało na posiadaniu mumii?

— I owszem, znam przeszło tuzin kolegów moich archeologów, którzy bardzo chętnie dostaliby w posiadanie ciało Inki-Kaksasa.

Tu wymienił nazwiska kilku głośnych i ogólnie szanowanych uczonych.

— Co za niedorzeczność! — mruknął przewodniczący — ludzie tak znakomici i zasłużeni jak ci których nazwiska pan wymienił, nie popełniliby morderstwa, dla przywłaszczenia sobie mumii.

— To też nie powiedziałem wcale, że ją sobie przywłaszczyli, lecz tylko, że chcieliby ją mieć. Oto wszystko.

Przewodniczący udał, że nie słyszy tego usprawiedliwienia.

— A czy mumia nie miała na sobie jakich wartościowych klejnotów?

— Skądże mogę o tem wiedzieć skoro jej nigdy nie widziałem? O ile by je miała, znajdowałyby się pod spowijającemi ją opaskami.

Z kolei nastąpiło przesłuchanie młodego doktora, który oglądał trupa. Doktor nazwiskiem Roberson, twierdził, że zmarły musiał być uduszony między drugą a trzecią w nocy, na dwanaście godzin przed rozpakowaniem skrzyni.

— Nie mogę zupełnie dokładnie określić czasu, w każdym razie śmierć nastąpić musiała na jakie trzy godziny przed świtem.

— A czy nie znaleziono na ciele jakich ran?

— Oględziny lekarskie nie wykazały żadnych.

Po doktorze przyszła kolej na wdowę Bolton. Wśród łez i wykrzykników opowiedziała trybunatowi, jakim dobrym i serdecznym chłopcem był jej Sidnej, nie przypuszczała, żeby mógł mieć nieprzyjaciół. Chciała opowiedzieć swój sen, ale przewodniczący nie dał jej dokończyć, gdyż jako człowiek wolnomysłny nie uznawał takich okultystycznych zjawisk.

Publiczność była za to zupełnie innego zdania,

i ten epizod psychicznego jasnowidzenia wzbudził ogólne zainteresowanie.

Gospodarz oberży »*Spoczynek marynarzy*« wywarł wrażenie bardzo korzystne. Mimo, że zakład jego nie cieszył się dobrą sławą, on sam wyglądał na szczerego i uczciwego człowieka.

Zeznał, że nie wiedział nic o istnieniu mumii.

— A cóż pan myślałeś o zawartości skrzyni?

— Przypuszczałem, że zawiera rozmaite tkaniny wschodnie i inne osobliwości, jakie się zwykle przywozi z takich podróży.

— Czy to Bolton tak panu rzecz przedstawił?

— O nie! Bolton opowiadał mi wiele o Malcie, ale nie o skrzyni.

— Może wspominał o jakich osobistych wrogach?

— Nie.

— A czy nie robił wrażenia człowieka bardzo smutnego i przygnębionego?

— Bynajmniej, cieszył się, że powrócił do Anglii i wyglądał bardzo wesoło.

Najważniejsze były zeznania ostatniego świadka, którym była Eliza Flight, służąca hotelowa.

Opowiedziała ona, że wprawdzie Bolton udał się do swego pokoju o ósmej wieczór, ale nie rozbiierał się wcale i widziano go w oknie w go-

dzinę jeszcze później. Ona sama wyszła wtedy na ulicę dla widzenia się z narzeczoną. Otóż oboje zauważyli Boltona w otwartym oknie. Rozmawiał wtedy z jakąś starą kobietą owiniętą szalem. Twarzy owej kobiety nie widziała z powodu ciemności, zauważyła tylko, że była pochylona i wsunęła prawie głowę w okno dla rozmowy z Boltonem.

— A skądże panienka wie, że kobieta ta była stara?

— Tego nie wiem na pewno, ale zdawało mi się, że musi być stara, bo ubrana była ciemno. Prawdę mówiąc — mówiła dalej Eliza — nie zwróciłabym uwagi na te szczegóły, dopiero na drugi dzień, gdy dowiedziałam się o morderstwie, przyszły mi one na myśl.

Przypomniała sobie jeszcze Eliza, że o godzinie ósmej chciała wejść do numeru zajmowanego przez Boltona, aby mu posłać łóżko, ale znalazła drzwi zamknięte na klucz, a Bolton zawołał do niej z wewnątrz, że nie może jej otworzyć bo już znajduje się w łóżku.

— Otóż to było kłamstwo — zauważyła dziewczyna — bo przecież w godzinę później widziałam go w oknie całkiem ubranego.

— A co się tyczy tych drzwi zamkniętych na klucz? — pytał przewodniczący.

— Były zamknięte z wieczora, proszę pana, ale nazajutrz znalazłam je otwarte. Gdy weszłam, pokój był już pusty, okno zamknięte a story spuszczone.

— Niema w tem nic dziwnego — rzekł przewodniczący. — Po rozmowie z ową kobietą Bolton musiał zamknąć okno i zapuścić story, nazajutrz zaś wychodząc otworzył drzwi.

— Przepraszam pana, ale to było niemożliwe — rzekła Eliza. — Nazajutrz rano, był on już zamknięty w pace zabitej gwoździami.

Przewodniczący spostrzegł jakiego bąka strzelił.

— W każdym razie zabójca musiał wyjść przez owe drzwi — zauważył niepewnie.

— Nie wiem którą wyszedł — rzekła Eliza. — Wstałam wtedy o szóstej z rana i chodziłam po korytarzach; oba wejścia do hotelu frontowe i tylne były jeszcze pozamykane na klucz.

Potem wstali moi państwo, służba chodziła wciąż po domu, jakimże sposobem zabójca mógłby wyjść przez nikogo niewidziany?

Na tem skończyły się zeznania świadków. — Skonfrontowano jeszcze wdowę Bolton z Elizą, która jednak oświadczyła, że nie rozpoznaje w niej wcale kobiety, która rozmawiała owej nocy z zamordowanym. Prócz tego, matka Boltona dowiodła

z pomocą trzech sąsiadek, że w chwili, gdy się to działo, siedziała w karczmie w Gartleg zasilając się napitkiem. Nie zresztą nie wskazywało, aby kobieta owa pozostawała w jakim związku z zabójcą.

Co było najdziwniejszem w tej ciemnej sprawie to to, że nikt z mieszkających wówczas w hotelu nie słyszał najmniejszego hałasu w pokoju Boltona, a było przecie pewnem, że musiano stuknąć młotkiem, odbijając i zabijając pakę. Słowem rozprawa sądowa nie rzuciła najmniejszego światła na tajemnicze to zajście, wobec czego przysięgli wydali tylko zaoczny werdykt, stwierdzający fakt morderstwa popełnionego z rozmysłem przez uduszenie ofiary sznurkiem od stopy.

VII.

Kapitan Hervey.

Nazajutrz po rozprawie, biedny Bolton został pochowany na cmentarzu rodzinnej swej wioski. Po niejakiś czasie cała sprawa poszła w zapomnienie, i tak publiczność jak sąd przestali się nią zajmować.

Jeden tylko profesor Bradock miał wciąż na pamięci straconą mumię i w głośnych po największej części monologach, tworzył coraz to nowe plany, mające go doprowadzić do odzyskania swej straty.

W miesiąc po pogrzebie odwiedził nagle profesora niejaki Hervey, kapitan statku *Nurek*, na którym Bolton odbył swoją wyprawę. Kapitan był to wysoki, chudy, suchy człowiek, którego włosy, broda i wąsy były czerwono-rude. Jego amerykański akcent doprowadzał do wściekłości profesora, który zniechęcił go od pierwszego wejrzenia.

Tamten zresztą zdawał się mieć równie przykry charakter, jak uczoney.

— Czego pan chce odemnie? — zapytał opryskliwie Bradock, zmuszony oderwać się na chwilę od jakiegoś niesłychanie interesującego papyrusa.

— Chciałbym pogadać z panem trochę — rzekł kapitan przewlekłym akcentem.

— Daj mi pan pokój, nie mam czasu — brzmiała niezbyt uprzejma odpowiedź.

Hervey usiadł najspokojniej, wyciągając swoje długie nogi i wydobyl z kieszeni cygaro równie długie i czarne jak on sam, poczem zapalił je, zapowiadając w ten sposób zamiar dłuższego zabawienia u profesora.

— Gdybyśmy byli w Stanach Zjednoczonych — rzekł z flegmą — wyciąłbym już panu od dawna siarczysty policzek dla nauczenia go grzeczności. — Rozumie pan?

— Jesteś pan kapitanem Nurka?

— Nie, wymieniłem już to stare pudło, na piękny nowy okręt. Jadę teraz na morze południowe dla połowu pereł, a za trzy miesiące będę z powrotem. Jeżeli pan chcesz, zabiorę z sobą tego koczkodana — dodał, ukazując na Kakatoesa, który siedział jak zwykle przykucnięty na piętach okurzając sarkofag.

— Potrzebuję jego usług i nie myślę go panu odstępować — odparł sucho profesor. — Zapłaciłem już panu przecie za przyjazd Boltona i mumii. Czego u diabła chcesz pan jeszcze odemnie, nie mamy już z sobą nic wspólnego.

— Właśnie, że bardzo wiele — odparł z flegmą marynarz. — Ta mizerna zapłata którą mi pan dałeś, poszła dla moich majtków, ja z tego nic nie dostałem. Dlatego też przyszedłem tu do pana w nadziei, że dorzucisz mi parę dolarów.

— Nie mam pieniędzy do rozdawania za darmo, nie jestem wcale miłosierny.

— A któżby tam prosił o jałmużnę takiego starego skąpca.

Bradock poczerwieniał jak burak.

— Jeżeli mówić będziesz do mnie takim tonem przekłety bandyto, to cię natychmiast wyrzucę!

— Pan mnie?

— A ja! — I zaperzony profesor skoczył na równe nogi, przyczem wyglądał jak rozjuszony kogut gotujący się do skoku.

— Na śmiech mi się zbiera patrząc na pana! Czego się pan irytuje, zamiast pogadać ze mną o tej mumii.

— Moja zielona mumia! — krzyknął profesor,

wpadając w sidła, jakie mu zastawił chytry marynarz. — Więc pan wiesz gdzie ona jest?

— Tak to co innego, a ile byś mi pan dał, gdybym ci odnalazł te stare piszczele?

— A co! nie mówiłem — wołał profesor fioletoy z irytacyi — to tyś mi ją ukradł. Ten idyota Bolton musiał ci opowiedzieć o jej wartości, a tyś wtedy zadusił biedaka i ukradł moje dobro.

— Powoli, powoli — odrzekł spokojnie kapitan, niezmierny bynajmniej oskarżeniem. — Wiesz pan przecie dobrze, że drzwi były otwarte a okno zamknięte, jakim sposobem mogłem jednocześnie pływać w mojej łupinie i wejść do hotelu przez nikogo niepoznany?

Zresztą w podobnym wypadku postużyłbym się raczej bronią palną, a nie stryczkiem, takie procedery dobre są dla żółtoskórych ze wschodu.

Profesor usiadł ocierając spocone czoło, rozumiał dobrze, że oskarżenie jego było bezpodstawne.

— Gdybym nawet chciał zwędzić pańskiego Machabeusza — ciągnął dalej kapitan — wrzuciłbym Boltona do morza, kiedy był jeszcze na moim statku, a mógłbym bez trudności podać śmierć jego za przypadkową.

Łatwiej by mi przecie było zrobić taką sztukę na własnych śmieciach, zamiast na waszej krowiej podłodze*). Nie, nie, mój panie **H H** nie puszcza się na takie figle.

— Któż to jest **H H**?

— Ja do usług. Nazywam się Hiram Hervey, obywatel stanu Nantucket. A teraz zaprzestań pan swoich gadań, bo cię oskalpuję.

— Nie uda ci się to — zaprzeczył profesor; gładząc ręką swoją błyszczącą czaszkę. — No ile wreszcie chcesz za zwrot mumii?

— Postaw pan sam cenę, a jeżeli mi się nada, pojedę natychmiast po tę zieloną maskarę.

— Wszak mówiłeś pan przed chwilą, że jedziesz na morze południowe.

— To dopiero za trzy miesiące. Do tego czasu będę mógł powrócić dziesięć razy jeśli zgodzimy się o cenę.

— Masz pan jaki ślad?

— Tak niby, pociągnąłem za język dziewczynę z hotelu.

— Elizę Flight? Więc skłamała.

— Niezupełnie, tylko nie opowiedziała wszystkiego, co się tyczy okna. Prawda, że było zam-

*) Tak marynarze nazywają stały ład.

knięte, ale to się już stało wtedy, kiedy ów człowiek, który wyeksperymentował Boltana, znajdował się za oknem.

— Chcesz pan powiedzieć, że okno zostało zamknięte od zewnątrz. Ależ to niemożliwe.

— Właśnie, że możliwe. Ten, co zmagistrował całą tę historię, to był filut nielada. Przywiązał szpagat do ramy okna i wypuścił jego koniec na zewnątrz. Wskoczywszy na ulicę potrzebował tylko pociągnąć, a okno zamknęło się samo. Zapomniał tylko zabrać z sobą szpagat; ja go zauważyłem zaraz na drugi dzień i zabrałem z sobą, bo mi się to odrazu wydało podejrzanem.

— To nie do uwierzenia — mówił Bradock, zrywając się znów — pojedę z tobą zaraz do hotelu i sprawdzę na miejscu.

— Za pozwoleniem — przerwał Harvey — nie przedziej, aż się pan ze mną umówisz. Słuchaj mnie pan. Ta historia z oknem dowodzi, że nikt ze służby hotelowej nie udusił Boltana, a zrobił to ktoś z miasta. Ten ktoś, musiał wejść przez okno i wyszedł tą samą drogą, niosąc z sobą zielonego koczodana. Daj mi pan 500 funtów, a ręczę, że ci odnajdę złodzieja.

— Skądżebym wziął tyle pieniędzy? — odparł sucho profesor.

— Przecież ta stara mumia musi mieć dużą wartość, skoro się pan tak o nią rozbijasz. Potrafisz pan przecie prehandlować ją potem z zyskiem dla siebie. A przytem pan musisz mieć pieniądze, nie mieszkasz przecie za darmo w tej wiejskiej ruderze.

— Mój kochany panie! Wystarcza mi zapewne na zapłacenie czynszu za ten dom — ale żądać odemnie pięciuset funtów, jestto to samo, jakby się kto domagał, abym zaczął raptem latać na skrzydłach.

Hervey wstał.

— W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak wrócić do Pierreside — a tu masz pan moją kartę, na wypadek gdyby się pan namyślił i zmienił zdanie.

Profesor przeczytał adres: *Spoczynek marynarzy* w Pierreside.

— Więc pan tam mieszkasz?

Hervey potwierdził skinieniem głowy.

— Siedzisz więc pan w tym hotelu, aby śleźć dalej trop złoczyńcy?

— Może tak, a może nie — odparł kapitan, otwierając drzwi z wielkim rozmachem. — W każdym razie jeśli mi pan nie dasz pieniędzy, to się pan pożegnaj z zielonym nieboszczykiem.

To rzekłszy kapitan wyszedł.

Po odejściu marynarza profesor wpadł w wielką wściekłość. — Oczywiście Hervey musiał coś wiedzieć o mumii, trzeba go było ująć sobie za wszelką ceną — ale skąd wziąć owe 500 funtów?

Przypomniał sobie nagle, że baronet Frank Random powrócić ma w tych dniach. Profesor mniemał, że Random kocha się w Łucyi. Gdyby tak zerwać jej zaręczyny z Archibaldem i obiecać ją tamtemu? Bradock posłał Kakatoesa po swoją pasierbicę, z którą się chciał natychmiast rozmówić.

— Musi pójść za Randoma — rzekł głośno. — W takim razie baronet da mi pieniądze.

Wejście Łucyi przerwało ten budujący monolog.

— Wołałeś mnie ojczy? — spytała.

— Tak jest, mam dla ciebie dobrą nowinę.

— Dotyczącą mumii?

— Jest nadzieja, że odnajdę zieloną mumię i będę mógł pomścić śmierć Boltona, ale muszę mieć na to 500 funtów. — Jak myślisz, czy Hope dałby mi te pieniądze?

— Z pewnością nie, ja sama mu na to nie pozwolę, już i tak dosyć stracił przeze mnie.

— W takim razie zwrócę się do Franka Randoma.

— Jak się ojcowi podoba, bylebym ja z tem nie miała nic wspólnego — odparła sucho.

— Właśnie, że to ma związek z tobą, bo Ransom pożycz mi z pewnością, jeżeli zechcesz zostać jego żoną.

— A więc to dlatego przywołałeś mnie tutaj! — rzekła zimno Lucya. — Dość już tego mój panie, oddałeś moją rękę Archibaldowi w zamian za tysiąc funtów. Zgodziłam się na to, bo go kocham, gdyby nie to, odmówiłabym mu stanowczo, bez względu na twoje pieniądze. — Co!? miałabym się sprzedać człowiekowi którego nie kocham! Dlatego tylko, żebyś mógł odszukać jakiś zbutwiały szkielet? To szaleństwo!

Lucya zabierała się do wyjścia.

— Odchodzę i nie chcę już słyszeć podobnej propozycji, a jeśli mnie będziesz nadal nudził, opuścę natychmiast twój dom i zostanę dziś jeszcze żoną Archibalda.

— To ja wypędzę cię z mego domu bezwstydną dziewczyno! — krzyczał Bradock purpurowy z gniewu. — Taka to wdzięczność za wszystko, co dla ciebie zrobiłem!

Lucya wzruszyła pogardliwie ramionami i wyszła nie odrzekłszy ani słowa.

VIII.

Baron Frank Random.

Frank Random był bardzo miłym chłopcem i posiadał mnóstwo zalet, a powierzchowność jego była jedną z tych, które budzą szereg rozkosznych marzeń w sercach młodych dziewcząt. Wysoki, piękny blondyn, zbudowany jak atleta, był namiętym lubownikiem wszelkiego rodzaju sportów. Miał zamiar ożenić się natychmiast po ukończeniu służby wojskowej, a potem osiąść na wsi i żyć tam aż do śmierci, zostawiając po sobie cały szereg młodych latorośli, przedłużających swoim istnieniem trwałość rodu Randomów.

Rzeczywiście kochał się był trochę w Łucyi, nie tyle jednak, aby brać zbyt tragicznie zaręczyny jej z Archibaldem. — Owszem złożył młodej parze szczerze życzenia i nie czuł najmniejszego żalu do narzeczonego Łucyi.

Wobec tego usiłowania profesora Bradocka, nie zdołały wskrzesić na nowo tych wygasłych płomieni.

Co innego za to uderzyło i zadziwiło uczonego egiptologa w czasie rozmowy jego z młodym baronem. Wszedłszy do mieszkania Randoma, położonego w obrębie fortu, gdzie młody oficer stał wraz ze swym pułkiem, Bradock wpadł do salonu nie czekając aż go zaanonsują.

— Proszę, usiądź pan — rzekł grzecznie Random, podając mu krzesło.

— Ależ to siedzenie twarde jest jak kamień, podaj że mi pan poduszkę i dołóż drzewa do ognia, bo zimno u ciebie, że i pies by nie wytrzymał.

Random przyzwyczajony do ekscentrycznego zachowania się profesora, spełnił z uśmiechem jego żądania i usiadł sam naprzeciw swego gościa.

— Z przykrością dowiedziałem się o pańskim nieszczęściu — rzekł Random.

— O jakim nieszczęściu?

— Tragiczna śmierć pańskiego sekretarza i ucznia.

— Ach tak! Ten błazen dał się idiotycznie zamordować i zgubił moją mumię.

— Zieloną mumię — rzekł Random, patrząc z roztargnieniem w ogień — słyszałem o niej.

— Spodziewam się, żeś pan musiał słyszeć, wszystkie dzienniki o niej pisały. A dawno pan powróciłeś?

— Przybyłem do Londynu w godzinę może po przybiciu do portu Nurka, na którym o ile mi wiadomo wieziono mumię.

Profesor spojrział na niego nieufnie.

— Nie rozumiem, dlaczego byś pan miał stosować swoje czyny i ruchy do losów mojej mumii.

— Miałem widać swoje powody.

— Powody?! jakie powody?

— Najważniejszym powodem była sama mumia.

— Co? co pan mówisz? więc pan wiesz coś o niej.

— Niestety nie wiem, ale chciałbym wiedzieć. Ileś pan za nią zapłacił profesorze?

— Cóż to pana obchodzi? — odrzekł brutalnie Bradock.

— Mnie nic, ale za to sprawa mumii interesuje żywo don Pedra di Gajangos.

— Któż to jest? Hiszpański egiptolog?

— Nie zdaje mi się, aby był egiptologiem.

— Musi nim być, skoro zajmuje go moja mumia.

— Zapominasz pan, że jest to mumia peruwiańska.

— Któż panu powiedział, że o tem zapominam? — zawołał uczony, zrywając się z miejsca i ślając przed Randomem w postaci wyzywającej. — Powiedz no pan bez wykrętów, o co ci chodzi. Dość już u dyabła tej obłudnej dyplomacji. — To mówiąc spiorunował go wejrzeniem.

Random z trudnością zachowywał powagę, tak był ubawiony postępowaniem profesora.

— Rzecz się ma tak — zaczął, wzruszając ramionami. — Kiedy będąc w Genui zatrzymałem się w Casa Bianca...

— Cóż to za Casa Bianca? — przerwał Braddock.

— Hotel w Genui, gdzie zabrałem znajomość z pewnym peruwiańskim szlachcicem nazwiskiem Don Pedro di Gajangos. Otóż ten Don Pedro przybył umyślnie z Peru do Europy dla odszukania zielonej mumii.

Słyszając to profesor osłupiał.

— Cóż może chcieć od mojej mumii ten przekłety Peruwiańczyk? Skąd wie o jej istnieniu? Dlaczego ją chce mieć?! Mówże pan, odpowiedz co to wszystko znaczy?!

— Opowie to panu sam Don Pedro, który nie-

bawem tu przyjdzie — odparł zimno Random. — Będiesz go pan mógł o wszystko wypytać.

— Ale teraz pytam pana, a nie jego! — krzyczał, pieniać się Bradock.

— Odpowiadam też panu jak umiem. — Don Pedro powiedział mi tylko tyle, że chciał nabyć mumię, która była w posiadaniu kolekcjonisty z Malty. — Telegrafował nawet o tem do niego, ale odpowiedziano mu, że mumię sprzedano już panu i wysłano na statku Nurek pod pańskim adresem.

— Tak też było rzeczywiście, zatem ten łotr chciał mi ją zdmuchnąć?

— Popłynąłem wówczas za Nurkiem — mówił dalej Random, nie zwracając uwagi na wykrzyk profesora — i przybyłem do Pierreside prawie jednocześnie z nim.

— Teraz wszystko rozumiem — mówił Bradock. — Ten dyabelski Peruwiańczyk, był z panem na pańskim jachcie, a dowiedziawszy się, że Bolton zatrzymał się w hotelu, poszedł tam i zabił biednego chłopca, ażeby mieć...

— Zupełnie się pan mylisz — przerwał mu Frank z lodowatym chłodem. — Don Pedro jest szlachetnym człowiekiem, niezdolnym do używania tak nikczemnych sposobów. — Don Pedro został

w Genui i miał zamiar napisać stamtąd do pana z zapytaniem, czybyś mu pan nie odstąpił swojej mumii. Odemnie dopiero dowiedział się o zamordowaniu pańskiego sekretarza, a wówczas telegrafował z Genui, że jedzie natychmiast do Anglii i za parę dni będzie w Gartleg.

— Na cóż mu potrzebna moja mumia? — mruknął niechętnie Bradock.

— Tego nie wiem, ale gdybyś mu ją pan odstąpił...

— Ja? jemu! nigdy! nigdy! — zaklinał się profesor.

— Zapłaciłby dobrze — mówił z niezmałym spokojem Random.

— Zresztą i tak nie mam tej mumii — rzekł profesor, ochłonawszy równie nagle jak się był zapalił. — Właśnie w tej sprawie przyszedłem do pana.

— Do mnie? — zdumiał się Random — a cóż ja mogę poradzić?

— Gdybym mógł dostać skąd 500 funtów — mówił profesor, patrząc pytająco na barona — odzyskałbym moją mumię i pomścił śmierć nieszcześliwego Sidneja.

— Jakim sposobem? — spytał żywo Random.

— Kapitan Hervey, komendant statku »Nurek«

proponował mi wczoraj swoją pomoc w zamian za 500 funtów. Twierdzi on, że trafił na ślad złodzieja i jest zupełnie pewny, że go odszuka. Nie jestem dość bogaty, aby mu dać taką kwotę, ale gdyby mi pan chciał pożyczyć?...

— 500 funtów — namyślał się Random — niestety nie mam tyle w tej chwili. Za dużo przegrałem w Monte Carlo, ale może się panu uda dostać je w inny sposób.

— Ciekawym w jaki?

— Don Pedro, jest zdaje się bogaty, zwróć się pan do niego, a prawdopodobnie nie odmówi panu tej pożyczki.

— Dziękuję za radę — zaperzył się gniewnie Bradock. — Gdyby ten peruwiańczyk dał 500 funtów Hervejowi, to na to tylko, aby samemu dostać mumię. — Nie głupi jestem, aby mu robić taką propozycję.

— Mówiłem już panu, że Don Pedro jest człowiekiem honorowym i nie byłby zdolnym przywłaszczyć sobie rzeczy, która jest pańską prawą własnością. Za to gotów jest odkupić mumię, gdy już raz będzie odszukaną.

— Hm! Zobaczymy — zamyślił się Bradock — odpowiem panu za parę dni. A tymczasem żegnam pana.

Zostawszy sam, Frank Random wydobyl z biurka fotografię młodej kobiety o czarownych, wymownych oczach i delikatnym owalu. Patrzył na nią z rzewną kłiwością szepcząc półgłosem:

— O droga! Czy tylko ojciec twój odda mi ciebie, skoro mu zwrócę jego mumie.

IX.

Plany pani Jascher.

Tymczasem życie płynęło zwykłym trybem w Piramidach. Profesor spędzał całe dnie w swoim muzeum, w towarzystwie Kakateosa, obchodząc się bez sekretarza, bo nie zaangażował nikogo na miejsce zmarłego Sidneja. Frank Random odwiedził Łucyę i wydał się jej zupełnie wyleczonym z miłości ku niej. Jako prawdziwa kobieta, Łucya uczuła się tem dotkniętą, a z właściwą płci swojej przenikliwością domyśliła się, że młody baron musiał znaleźć pocieszycielkę. Nie śmiała pytać go o to sama, ani też zwierzyć się ze swą ciekawością Archibaldowi, postanowiła więc udać się z tem do pani Jascher, którą łączyła zażyłość z młodym baronem.

Random był częstym gościem powabnej wdowy, jak zresztą wszyscy prawie jego koledzy

z fortu. Pani Jascher umiała zawsze zgromadzić dokoła siebie miłe kółko przyjaciół i była czarującą gospodynią. Łucya jednak nie zastała jej dwukrotnie w domu, za trzecim razem wreszcie udało się jej z nią rozmówić.

Pani Jascher wróciła tylko co z Londynu, gdzie załatwiała jakieś interesa i ucieszyła się bardzo odwiedzinami Łucyi.

— Jak to ładnie z twojej strony, żeś przyszła odwiedzić biedną samotnicę — mówiła ściskając ją serdecznie.

W istocie chwilowo brakło tu zupełnie męskiego elementu, wobec czego rozmowa obu kobiet przybrała charakter poufny. Pani Jascher mieszkała w ładnym drewnianym domku, otoczonym kwadratowym ogrodem, poza którym ciągnęły się same bagna dochodzące do Tamizy. Trzęsawiska te otaczały dom z trzech stron, a tylko od frontu znajdowało się suche przejście, prowadzące do drogi. Tą drogą zjeżdżali tu zazwyczaj przyjaciele wdowy z sąsiedniego fortu. Zdaleka widać było błyszczącą wstęgę Tamizy.

Posadziwszy Łucyę na miękkim fotelu przed kominkiem, pani Jascher usiadła obok niej.

— Droga Łucyo — rzekła — jakże się ma twój ojciec po tych okropnych wstrząśnieniach?

— Ma się doskonale, tylko jest w okropnym humorze.

— Zapewne z powodu śmierci tego nieszczęśliwego Boltona?

— Zdaje mi się, że nie czuje się wcale dotkniętym śmiercią Sidneja, chyba tylko o tyle, że brakuje mu jego pomocy jako sekretarza.

— A czy znaleziono jakie poszlaki w sprawie tego ohydneho morderstwa?

— Nie, wszystko było i jest tajemnicą.

Pani Jascher patrzyła zamyślona w ogień.

— Czytałam wszystko co dzienniki pisały w tej sprawie — chciałabym jednak odwiedzić profesora, aby się dowiedzieć szczegółów nieznanych publiczności.

— Takich chyba niema, dzienniki opisały wszystko, ale dlaczego pani się tak interesuje tą sprawą?

Pani Jascher poruszyła się zdziwiona.

— Wiesz przecie, ile przyjaźni żywię dla profesora.

— To bardzo ładnie z pani strony, chociaż na pani miejscu nie rozmawiałabym o tem z moim ojczymem.

— Chciałam mu zaproponować pożyczkę, która mu ułatwiła odzyskanie mumii.

— Nie wiedziałam, że pani jest tak bogata.

— Dziś jeszcze nie, ale wkrótce otrzymam kilka tysięcy funtów po bracie moim, który umarł w tych dniach.

— Czy być może! Więc poniosła pani taką stratę?

— Kochana Lucyo, nie myślę stroić się w uczucia, których nie doświadczam. Nie znaliśmy się prawie z moim bratem i żyliśmy z sobą bardzo daleka. Mimo to dziedzicę po nim jako jedyna krewna, dlatego będę mogła oddać tę usługę profesorowi.

— Nie rozumiem doprawdy w jakim celu ponosi pani dla niego takie ofiary.

— Domyślasz się chyba tego drogie dziecko, nie taję się przecie z tem, że chciałabym zostać żoną twego ojczyma.

— Cóżby pani na tem zyskała?

— Zapominasz widocznie, że ojczym twój ma starszego brata baroneta Donalda Bradock, który jest bezdzietny. W razie więc śmierci jego, tytuł i majątek przechodzą na profesora. Zostałabym w takim razie baronową, a zamieszkałszy w Londynie prowadziłabym dom otwarty, starałabym się stworzyć salon naukowo-literacki. Byłoby to życie bardzo przyjemne. Nieprawdaż?

— Z pewnością, ale zapominasz pani, że pro-

fesor udałby się przedewszystkiem do swego tajemniczego grobowca.

— Wiem o tem, choć przedtem odszukać musi zieloną mumię.

— Zatem dasz mu pani do wyboru jedno lub drugie — zaśmiała się Łucya.

— Przed ślubem być może, potem nie będzie już miał wyboru.

Profesor jak wszyscy mężczyźni, potrzebuje być krótko trzymanym.

Czy nie gorszysz się pani moją szczerością? No! a teraz pomówmy o Tobie. Co zamierzasz zrobić z panem Hope?

— Pobierzemy się na wiosnę.

— A czy wiesz, że i dawny twój wielbiciel powrócił?

— Mówi pani o Franku Random? — rzekła, czerwieniąc się Łucya.

— Odwiedził mnie onegdaj, i zauważyłam, że nie jest już tak przygnębiony.

— Prawdopodobnie znalazł pocieszycielkę — zauważyła Łucya, rumieniąc się coraz mocniej.

— Zdaje się — odparła wymijająco wdowa.

— Któż to być może?

— Domyślałam się tylko; nie wiem jednak nic pewnego.

— Niech mi pani wyjawi swoje domysły.

— Jestto prawdopodobnie Hiszpanka donna Inez di Gajangos. Pokazywał mi jej fotografalię.

— Więc to Hiszpanka?

— Właściwie Kreolka z Limy, bardzo piękna podobno. Frank Random zaznajomił się z nią i z jej ojcem don Pedrem w czasie wspólnego pobytu w Genui. Oboje, Don Pedro i Donna Inez przybędą tu wkrótce, będziesz więc miała sposobność poznać ich sama.

X.

Peruviański hidalgo i jego córka.

Mimo wielkiej systemateczności swojej i zamiłowania do pracy, profesor wydalął się niekiedy na dni kilka, dla stykania się z innymi archeologami, którzy byli mu pomocni w rozjaśnianiu niektórych wątpliwości. Nie zdziwiła się też Łucya, gdy dnia jednego ojczym zapowiedział jej wyjazd swój do Londynu.

— Kiedy powrócisz ojcze? — poważyła się zapytać.

— Nie wiem, nie wiem, wiesz dobrze, jak nieawidzę podobnych pytań, za tydzień, a może za miesiąc. Nie myślę krępować się żadnym terminem. Jeśli potrzeba ci opieki, to zaproś tu sobie swoją panią Jascher.

Łucya przyjęła z chęcią ten układ. W gruncie uszczęśliwiona była z tego wyjazdu; w nieobecno-

ści profesora czuła się znacznie swobodniejszą. Archibald korzystał z tego również, spędzając dnie całe w towarzystwie narzeczonej.

Jesień była tego roku bardzo piękną, młoda para odbywała dalekie spacery, przyczem Archibald brał z sobą pendzle i stalugi i szkicował od czasu do czasu drobne studia pejzażowe. Gdy się raz tak znaleźli we czworo, bo i pani Jascher towarzyszyła im chętnie wraz z Frankiem Random, ten ostatni wymówił nazwisko Don Pedra di Gajangos.

— Któż to jest? — spytała Łucya, udając niewiadość.

— Jeden z przyjaciół moich, którego poznałem w Genui. Przybyć tu ma dziś właśnie wraz z córką.

— Więc i córka przyjeżdża z nim? — spytała pani Jascher.

— Tak jest — odpowiedział młody baron, rumieniając się — zamówiłem właśnie dla nich najlepsze dwa pokoje w gospodzie »*Pod rycerzem*«. Jak pani myśli, czy będzie im tam wygodnie?

— A czy umięją ci peruwiańczycy po angielsku?

— Mówią oboje bardzo płynnie naszym językiem.

— To bardzo szczęśliwie dla mnie, bo nie

umiem ani słówka po hiszpańsku — rzekł Archibald.

— Cóż sprowadza tych cudzoziemców do naszego zapadłego kątku? — pytała pani Jascher.

— Zdawało mi się, że wspomniałem już państwu, że Don Pedro przybywa do Europy w celu odszukania zielonej mumii.

— Próżno się będzie trudził — rzucił nawiasowo Hope.

Random chciał mu właśnie coś odpowiedzieć, gdy uwagę jego zwróciły trzy osoby, ukazujące się na drodze.

Byli to właśnie Don Pedro z córką, których prowadził jakiś chłopak, ukazując im ręką grupę zgromadzoną przy stalugach Archibalda. Random poznał ich odrazu.

— Don Pedro! — zawołał z radością, spiesząc na ich spotkanie.

Hope przeciwnie był bardzo niezadowolony z tej niespodzianej dywersyi.

— I po co u dyabła Random prowadzi ich tutaj? Będę musiał zaprzestać malowania. — To mówiąc, składał stalugi, chowając farby i pendzle.

Widziany z blizka Don Pedro podobny był zupełnie do słynnego Don Kiszota Gustawa Doré. Wysoki, chudy, musiał mieć w żyłach krew in-

dyjską, co było widoczne w jego czarnych jak węgiel oczach i równie czarnych, prostych i twardych włosach.

Instynktowe upodobanie do jaskrawych kolorów zdradzał ponsowy krawat i szkarłatna fularowa chustka, obwiązana niedbale dokoła kapelusza. Mimo tych cech egzotycznych Don Pedro był od stóp do głów doskonałym typem hiszpańskiego hidalga.

Random przedstawił nowoprzybyłych Łucyi i pani Jascher, które poddały szczegółowej rewizji urodę młodej peruwianki. Donna Inez była piękną i majestatyczną, a przytem cała jej postać miała to samo piętno oryginalności, które cechowało jej ojca. Widok jej przywodził na pamięć owe wizerunki indyjskich księżniczek, ubranych w długie szaty oszyte drogimi kamieniami. A Łucya patrząc na nią, porównała ją w myśli z dziewicami słońca, o których opowiadał jej nieraz Bra-dock.

— Anglia musi się pani wydawać bardzo ponura po słonecznym klimacie Limy — zaczęła mówić Łucya.

Donna Inez zadrzała lekko, obrzucając wzrokiem szaro-mglisty krajobraz, blade oświecony przedzierającymi się z trudnością promieniami słońca.

— Wolę oczywiście klimat podzwrotnikowy — odrzekła śpiewnie — ale ojciec musi zabawić jakiś czas w Anglii, aż do załatwienia swoich interesów.

— Chciałbym jaknajprędzej powrócić do Limy, przybyłem też tu wcześniej, niż miałem zamiar, aby rozmówić się z profesorem Bradock.

— Żałuję bardzo, że ojczym mój właśnie teraz wyjechał — mówiła uprzejmie Łucya.

— Zaczekamy na jego powrót. Och! jakżebym chciał, aby się ta mumia znalazła — westchnął.

— Prawdopodobnie nie znajdzie się wcale — zauważył Hope.

— Musi się znaleźć — rzekł poważnie Don Pedro. — Po to jedynie przyjechałem umyślnie z Limy.

Gdybyście państwo znali historię mumii, nie dziwilibyście się wcale, że pragnę ją odzyskać.

— Odzyskać!? — zawołali równocześnie Random i Hope.

— Mumia ta została skradzioną mojemu ojcu — objaśnił hidalgo.

XI.

Rękopism.

Wiadomość ta zelektryzowała obecnych i mumia stała się znów przedmiotem rozmów. Pani Jascher zwłaszcza była bardzo zaintrygowana i postanowiła wydobyć z Don Pedra wszelkie dotyczące szczegóły. Zaprosiła więc całe towarzystwo na obiad do siebie.

— Słuchaj moja droga — mówiła do Łucyi — jeżeli Don Pedro opowie nam wszystkie szczegóły pierwszej kradzieży mumii, rzuci to nowe światło na całe to zdarzenie, a w ten sposób dojdziemy może wreszcie, komu zależało tak bardzo na posiadaniu tego paskudztwa, bo w gruncie każda mumia jest rzeczą ohydną. Chciałabym bardzo przyczynić się do odkrycia mordercy, przez co zasłużyłabym na wdzięczność twego ojczyma.

— Dlaczego przypuszczasz pani stanowczo, że

mordercą był mężczyzna? Wszakże proces wykazał, że ostatnia osoba z którą widziano Boltona w oknie, była kobietą.

— Była to stara kobieta — zauważyła pani Jascher.

— Eliza Flight nie wspominała wcale, czy to była stara czy młoda, w każdym razie musiała być współniczką mordercy.

— Nie rozumiem moja droga, dlaczego koniecznie współniczką? Zresztą obaczysz, że opowiadanie Don Pedra, przyczyni się do rozwiązania tej zagadki. — Nie zapomnijże przyjść jutro do mnie na obiad wraz z Archibaldem. Hiszpanie i Ransom przyrzekli już swoją obecność.

Nazajutrz o siódmej wieczorem, grono złożone z sześciu osób zebrane było w miniaturowej jadalni pani Jascher. Towarzystwo to było bardzo z siebie zadowolone i bawiło się wybornie.

Mała wdowa była istotnie niezrównaną gospodynią domu, i umiała wybornie urządzać takie przyjęcia. Cały obiad był jednym wielkim powodzeniem, a gdy goście zasiedli po obiedzie w różowym saloniku przy jasnym ogniu, płonącym na kominku, uczucie zadowolenia i wdzięczności dla gospodyni malowało się na wszystkich twarzach. Pani Jascher, jako biegła dyplomatka umiała wy-

zyskać ten moment dla sprowadzenia rozmowy, na przedmiot, który ją tak mocno zajmował.

— Spodziewam się, że ojciec twój przywiezie z sobą mumię — rzekła zwracając się do Łucyi.

— Zdaje mi się, że nie po to pojechał do Londynu — odparła obojętnie panna Kendal.

— A kiedy spodziewa się pani powrotu ojczyzna? — pytał Don Pedro.

— Nie mam pojęcia. Ma on zwyczaj robić niespodzianki — wróci kiedy mu się spodoba.

Hidalgo wzniósł oczy do góry z widoczną troską.

— Nie schodzi mi z myśli ta mumia — rzekł na wpuł do siebie.

— Mój Boże — rzekła żartobliwie pani Jasher — i skądże to pochodzi? Byłaby ta mumia pańską krewną?

— Nie myli się pani — odpowiedział poważnie Don Pedro.

Na te nieprzewidziane słowa, wszyscy obecni prócz Donny Inez, spojrzeli na siebie ze zdziwieniem.

— W żyłach moich płynie krew peruwiańskich królów — mówił dalej Don Pedro, jestem ostatnim potomkiem Inki Kaksasa.

— Opowiedz pan nam to, proszę — zawołała pani Jascher.

— Obawiałbym się znudzić państwa — odpowiedział hidalgo.

— Ależ nie, przeciwnie, opowiadanie pańskie zajmie nas niesłychanie — dodał Archibald Hope, również zaciekawiony.

Don Pedro skłonił się poważnie i powiódł po zgromadzonych wymownym swoim wzrokiem, potem wydobyl z kieszeni starożytny papirus zapisany czerwonymi znakami i podał go Łucyi, mówiąc:

— Czy widziała pani kiedy taki rękopism?

— Nie — odpowiedziała, pochylając się nad papierem, aby się mu uważnie przypatrzeć.

— Jest to dokładny opis zabalsamowania Inki Kaksasa, spisany przez jego syna, który był jednym z moich przodków.

Opis ten podaje wszelkie szczegóły o ceremonii tej i miejscu pogrzebania, wylicza przytem zupełnie dokładnie wszystkie klejnoty, z którymi pochowany został Inka Kaksas. Mumia mego królewskiego przodka uważana była w kraju za świętość i czczona jako taka. Później rodzina moja przeniosła się do Limy, gdzie mieszkam dotąd.

— Jakim sposobem skradziono panu tę rodziną pamiątkę? — spytał ciekawie Random.

— Stało się to w czasie wojny domowej, która wybuchła w Peru, gdy byłem jeszcze prawie dzieckiem. Zrabowano wówczas dom mojego ojca, a pewien majtek angielski nazwiskiem Waza, przywłaszczył sobie mumię. Człowiek ten doznał wpięrow od nas wiele dobrego i korzystał długo z naszej gościnności, po rozbiciu się okrętu, z którego ledwie uszedł z życiem. Dowiedziawszy się o tej stracie ojciec mój umarł z żalu, a umierając polecił mi odszukanie naszego rodzinnego skarbu.

Wszystkie moje starania były daremne. Waza znikł bez śladu ze swoim łupem. Zaniechałem wreszcie dalszych kroków i żyłem spokojnie w Limie, w tym roku dopiero wybrałem się w podróż po Europie, a bawiąc w Genui, wyczytałem w dziennikach wiadomość o zielonej mumii, sprzedanej przez antykwarza z Malty profesorowi Bradock. Baron Frank Random, którego miałem szczęście tam poznać, przyrzekł mi pośredniczyć pomiędzy mną a profesorem. Aż oto przybywszy, dowiaduję się, że mumia została powtórnie skradzioną.

Mówiąc to hidalgo, rozłożył bezradnie ręce.

— Muszę tu jeszcze dodać — mówił dalej — że rękopism opisujący mumię zaginął był czas ja-

kiś; wielu członków naszej rodziny nie znało jego treści. — Nie wiadano też, że dwa niezmiernie cenne szmaragdy pochowane zostały wraz z ciałem Inki Kaksasa.

— To jednak bardzo ważny szczegół — uważał Hope — bardzo być może, że właśnie owe szmaragdy były przyczyną kradzieży.

— Nikt o nich nie mógł wiedzieć, nie znając rękopismu.

— Może istniała jedna lub nawet kilka kopii rękopismu, które mogły wpaść w czyjeś ręce, choćby nawet takiego Wazy.

— To niepodobna — zaprzeczył Don Pedro — zresztą rękopism pisany był znakami, których nikt by nie mógł wyczytać z wyjątkiem chyba uczonego archeologa. — A gdyby kto i znał ową tajemnicę musiałby rozpowieć mumię dla zdobycia szmaragdów; tymczasem według doniesień dzienników mumia była zupełnie nietknięta.

— Zdaje mi się, że należałoby przedewszystkiem odszukać tego Wazę — zauważyła pani Jasher.

— To jest niestety niemożliwe, gdyż człowiek ten znikł bez śladu od lat trzydziestu.

XII.

Nowe odkrycie.

Dnie upływały jeden za drugim, a profesor nie spieszył z powrotem. Hidalgo czekał cierpliwie, a tymczasem urozmaicał sobie życie wycieczkami do Pierreside, gdzie zawarł znajomość z inspektorem Date, wypytując go gorliwie o wszystkie szczegóły morderstwa Boltona. Date twierdził, że sprawa ta nie będzie nigdy dostatecznie wyjaśniona.

Przez ten czas obie młode pary, to jest Łucya z Archibaldem i Donna Inez z Frankiem, przeżywały najpiękniejsze dni pierwszej miłości pod życzliwym nadzorem pani Jascher. — Gdy dnia jednego Łucya i Archie oczekiwali lada chwila przybycia miłej wdowy, drzwi jadalni otwały się nagle, a na progu ukazał się profesor.

— Nie spodziewaliśmy się dziś ojca — zawołała Łucya witając go.

— Przyjechałem tu przed trzema godzinami rannym pociągiem — mówił Bradock, zrzucając płaszcz podróżny. — A to ty Hope, jak się masz?

— A gdzie się ojciec tak długo zatrzymał? — pytała Łucya.

— Wstąpiłem po drodze do pani Jascher. — Czy wiesz Łucyo, że rozważyłem twoją radę i postanowiłem ożenić się z tą kobietą, i oświadczyć się jej, co też skutecznilem.

— Ach jak to dobrze, jak się cieszę — wołała Łucya, klaszcząc w dłonie.

— Więc ożenisz się z nią pan dziś jeszcze? — pytał ze śmiechem Archie.

— Cóż ci u dyabła strzeliło do głowy? — mówił Bradock, powracając do dawnego tonu. — Mówię wam przecie nie po chińsku, że oświadczyłem się dziś pani Jascher. — To bardzo miła kobieta, a przytem miałem sposobność przekonać się, że interesuje się archeologią. — Przyjdzie tu jutro na obiad.

— Dziś jeszcze pobiegnę do niej, aby jej złożyć życzenia — wołała Łucya z zapalem. — Ty Archie pójdziesz ze mną, nieprawda?

— I owszem, nie mam nic przeciw temu — a teraz piję na pomyślność twoją i pani Jascher — rzekł Hope, podnosząc szklanę.

— A ja piję za twoje zdrowie i zdrowie profesora — odwzajemniła się Lucya. — Pobierzemy się w styczniu.

— To bardzo dobrze — zgodził się profesor. — Lucy, drogie dziecko, dam ci wspaniały prezent ślubny. — Moja żona jest bogata, odziedziczyła znaczny majątek po bracie. Po ślubie pojedziemy oboje do Egiptu.

— To się wszystko doskonale układa, bo jak się zdaje, Frank Random ożeni się z Donną Inez di Gajangos.

— Z córką tego Peruwianczyka, który przyjechał tu po mumie? — zaniepokoił się Bradock. — Będę musiał z nim pomówić.

Skończyli wreszcie obiad.

— Pójdziemy teraz złożyć życzenia pani Jascher — oświadczyła Lucya.

Profesor udał się do swego gabinetu w towarzystwie wiernego Kakatoesa, podczas kiedy młoda para dążyła do willi wdowy. Noc była tak piękna, że postanowili się nie spieszyć, aby się nią dosyć nacieszyć.

Doszli jednak wreszcie do willi pani Jascher. Światło przenikające przez różowe firanki salonu dowodziło, że wdowa jeszcze nie spała.

Archibald pchnął drewnianą furtkę i wszedł

wraz z Łucyą do ogrodu. Na prawo od wejścia czernił się kłęb splełanych krzaków, których szczyty przypruszył już pierwszy śnieg.

O krzaki te, oparty stał jakiś przedmiot, który zwrócił na siebie odrazu uwagę młodego malarza. Zbliżył się i począł go oglądać uważnie, poczem zawołał głośno:

— Lucy! chodź zobacz!

— Co? co takiego? — wołała biegnąc.

— Patrz — rzekł Archibald, ukazując tajemniczy przedmiot.

Łucya spojrzała, i ku głębokiemu swemu zdumieniu obaczyła — zieloną mumię.

XIII.

Z tajemnicy w tajemnicę.

Łucya i Hope nie widzieli wprawdzie nigdy przedtem zielonej mumii, podług opisu jednak jaki słyszeli nieraz z ust profesora, nie mogli mieć pod tym względem żadnych wątpliwości. Dziwacznie rzeźbiona skrzynka, którą mieli przed sobą, była niezaprzeczenie peruwiańskim sarkofagiem. Hope potarł zapałkę, a przy świetle jej dostrzegł zielony kolor, który go jeszcze bardziej przekonał, że jest to istotnie owa tajemniczo stracona mumia. Ale dlaczego znajdowała się w ogrodzie pani Jascher?

Łucya postanowiła zapytać natychmiast wesołej wdowy — czy wie o obecności w swoim ogrodzie tego egzotycznego przedmiotu. Zadzwoniła więc mocno do drzwi, Archibald zaś pozostał na straży przy mumii.

Naokoło jak okiem sięgnąć, rozciągały się trze-

sawiska zamknięte z jednej strony Tamizą, z drugiej pagórkami, na którym wznosiła się wioska Gartleg, a jej światelka błyszczały z daleka.

Wprost na drodze czerniła się sylwetka fortu, odcinając się ostro na tle oświeconego blaskiem miesięcznym horyzontu. Hope zapytywał siebie, jakim sposobem ludzie niosący mumie mogli się tu dostać przez nikogo nie widziani. Niepodobniestwem było, aby szli przez trzęsawiska, jedyna zaś dostępna droga prowadziła obok fortu — snuli się więc wciąż po niej żołnierze, w tej chwili nawet kilku z nich wracało dopiero na noc, bo godzina nie była jeszcze spóźniona. Co więcej, skrzynka z mumią ustawioną była tak blisko mieszkania wdowy, że niepodobna było przypuszczać, aby ktoś z wnętrza domu nie usłyszał hałasu w chwili, gdy ją stawiano. A przecież ludzie którzy przynieśli mumie (a musiało ich być najmniej dwóch, zważywszy ciężar skrzyni), mogliby naprowadzić z pewnością na ślad zabójców Sidneja.

Podczas gdy Archibald oddawał się tym rozmyśleniom, Łucya powróciła w towarzystwie wdowy, ubranej w elegancki szlafroczek.

— Nie uwierzysz moja droga jak byłam zdziwiona, widząc cię o tej porze — mówiła wdowa. — Co? i pan Hope tu jest? Jakże mi miło.

Łucya przejęta odnalezieniem mumii, nie mogła zrozumieć zachowania się pani Jascher.

— Cóż to!? Czy pani nie słyszy, czy udaje? — zawołała gniewnie — mumia się znalazła, zielona mumia! Patrz pani! jest w pani ogrodzie.

— W moim ogrodzie? — wyjąkała wdowa, patrząc z przerażeniem na skrzynię.

— Jak pani widzi — rzekł trochę szorstko Archibald. — A skąd się tu wzięła?

Coś w jego tonie nie podobało się pani Jascher, która zwróciła ku niemu oburzoną twarz.

— Skąd się tu wzięła? — powtórzyła — a cóż ja mogę o tem wiedzieć mój panie. Pisałam właśnie do mego notaryusza, w sprawie małżeństwa mego z panem Bradock, bo musisz przecie wiedzieć, że wychodzę za profesora.

— Przyszliśmy właśnie złożyć pani życzenia, a znaleźliśmy mumie.

— Ach tak, to paskudztwo — potwierdziła pani Jascher, otwierając szeroko oczy i dotykając z widoczną odrazą zielonej skrzyni.

— To tylko sarkofag, mumia jest we środku,

— Wszak opowiadano, że profesor znalazł w zielonej skrzyni ciało biednego Sidneja.

— O nie, ciało to znajdowało się w zwyczajnej pace. Ale tu mieszczą się napewno zwłoki

Inka Kaksasa. Jakim sposobem ukryto je w pani ogrodzie?

— Ukryto? Nie bardzo ukryto, skoro widać je na pierwszy rzut oka z drogi.

— I z progu domu pani — zauważył znacząco Archibald. — Czy nie spostrzegłaś jej pani odprowadzając profesora?

— Nie — odparła sucho wdowa. — Gdybym ją wtedy zobaczyła, pokazałabym ją przedewszystkiem profesorowi, który tak pragnie ją odzyskać, i prawdopodobnie nie zostawilibyśmy jej tutaj, gdzie ją w każdej chwili znów mogą ukraść.

— Zatem nie było tu skrzyni, w chwili gdy profesor stąd wychodził?

— Napewno nie, chociaż może nie spojrzeliśmy oboje w tamtą stronę. Na twojem miejscu Lucy pobiegłabym zaraz do domu — uprzedzić profesora.

Lucya uznała słuszość tej uwagi i pomknęła natychmiast, uradowana niespodzianką, jaką sprawi ojczymowi, do którego była przywiązana mimo wszystko.

Archibald i pani Jascher zostali przy mumii. Młody człowiek zapalił papierosa i przyglądał się rzeźbom sarkofagu. Pani Jascher pomimo zimna

nie wracała do domu, zarzuciła sobie tylko na głowę flanelowe okrycie i usiadła na skrzyni.

— Wyglądasz pan — rzekła do Archibalda — jak gdybyś posądzał mnie o współudział w tej sprawie.

— Nikogo nie posądzam, bo nic nie wiem — odparł Archibald. — O której godzinie profesor panią pożegnał?

— O ósmej, a która teraz?

— Za kwadrans dziesiąta, a że my z Łucyą przybyliśmy tu o wpół do dziesiątej, zatem skrzynia została tu przyniesioną pomiędzy ósmą a dziesiątą.

— Chybiłeś pan powołania — rzekła kwaśno wdowa.

— Dlaczego?

— Byłby z pana doskonały detektyw, co byłoby dla mnie bardzo niebezpiecznym — dodała złośliwie. — Wszakże w noc zbrodni widziano jakąś kobietę rozmawiającą z Boltonem. — Może to byłam ja?

— Ależ droga pani — zaprzeczył Hope — ani mi się śni posądzać panią, tak samo, jakbym nie podejrzywał Łucyi.

— Dziękuję — rzekła sucho wdowa.

— Myślałem tylko — mówił dalej Hope — że

powinnaś pani była słyszeć hałas, jaki musiał towarzyszyc przyniesieniu tu skrzyni — jakieś kroki, słowem coś...

— Mówiłam już raz, że nie słyszałam i nie widziałam nic. Nie myślę zresztą marznąć tu dłużej, słuchając podobnych nedorzeczości. Jeżeli pan chce porozmawiać ze mną, chodźmy do salonu.

— Ja tu zostanę na straży, aż do przyjscia prawowitego właściciela mumii — odrzekł Hope, zapalając papierosa.

— Och rozumiem, chciałbyś pan odzyskać co najprędzej pożyczone profesorowi pieniądze. Owszem życzę abyś pan znalazł szmaragdy.

I odeszła śmiejąc się szyderczo.

Hope pozostał zdziwiony. Nie rozumiał czem ją mógł obrazić. W tej chwili dało się słyszeć donośne sapanie, podobne do sapania lokomotywy i Bradock wpadł bez tchu do ogrodu pani Jascher, wyrzucając z zawiasów drewnianą furtkę. Za nim biegł Kakatoes, o kilka kroków dalej Łucya. Mały uczony rzucił się z rozwartemi ramionami na skrzynię, a w tejże chwili wyszła z domu pani Jascher, otulona futrzaną peleryną.

— Poznałam twoje kroki — rzekła tklawie wdowa.

Profesor nic jej nie odpowiedział, całą uwagę jego zajęła mumia.

— Mam cię wreszcie, mam moja kosztowna mumio! — wołał z zachwytem. — Po chwili zwrócił się nagle do pani Jascher, piorunując ją wzrokiem.

— Więc to pani ukradła moją mumię — syknął przez zęby. — A ja głupi chciałem się z panią żenić, dobrze żem się w porę opatrzył! Och kobieto! jaki wstyd! jak mogłaś to uczynić.

— Oszalałeś pan! — odparła gwałtownie wdowa. — Jakiem czołem poważasz się zarzucać mi takie rzeczy. Dziś po raz pierwszy w życiu obaczyłam tę ohydną skrzynię. I to pan mówisz!? pan, który mnie niby kochasz? To samo Hope. W takim razie oskarżacie mnie o zabójstwo Boltona!

— Tego niepowiedziałem — zaprzeczył profesor, ocierając spocone czoło — ale skąd mumia wzięła się w twoim ogrodzie?

— Nie wiem, ale to przecież niczego nie dowodzi. — Och! co za niegodziwcy ci mężczyźni, do śmierci mnie doprowadzą. Słabo mi! Och Łucyo!

I biedna wdowa słaśniała się w objęciach panny Kendel.

— Archie! Archie! Ona mdleje — wołała
Lucya.

Hope ujął silnem ramieniem małą kobietkę
i zaniósł ją do salonu, powierzając staraniom Łu-
cyi i pokojowej, sam zaś powrócił do profesora.
Bradock był zupełnie pochłonięty oglądaniem skrzyni.

— Odstąpisz ją pan Don Pedrowi? — spytał
Hope.

— Nie wiem, wpierw muszę ją obejrzeć —
mruknął Bradock.

Tymczasem przybył Kakatoes z wózkiem.

— Straciłeś pan dziś panią Jascher — zauwa-
żył Hope, pomagając profesorowi w umieszczeniu
skrzyni na wózku.

— Ale zyskałem coś, co mi o wiele bardziej
jest drogie — odpowiedział Bradock, gładząc pie-
szczośliwie sarkofag.

Archibald roześmiał się serdecznie.

XIV.

Zwrot nieprzewidziany.

Nazajutrz rano, wieść o szczęśliwym znalezieniu mumii doszła do Don Pedra di Gajangos. Hidalgo zjadł śpiesznie śniadanie i udał się do Piramid. Bradock znał już Don Pedra z opowiadań pasierbicy swej i pani Jascher. Przyjął go więc chętnie, spodziewając się spotkać w nim człowieka oświeconego.

Don Pedro podziękował mu za przyjęcie z powagą i godnością, które go zawsze cechowały. Potrafił pokryć doskonałym spokojem gorączkową ciekawość, która go trawiła i gwałtowną chęć odzyskania mumii. W chwili jego wejścia, profesor zabierał się właśnie do otworzenia sarkofagu.

— Bardzo się cieszę z pańskiej znajomości — rzekł z wyjątkową uprzejmością Bradock. — Hi-

storia mumii Inki Kaksasa nie jest panu obcą, jak słyzałem.

— A czy sarkofag, który mam przed sobą, zawiera istotnie zwłoki Inki? — spytał hidalgo, siadając.

— Niezawodnie, sprowadziłem go umyślnie z Malty przez mego sekretarza Boltona. Poprzedni właściciel mumii opowiadał Boltonowi, że kupił ją w Paryżu przed trzydziestu laty, wiem tylko o niej, że pochodzi z Limy, i zawiera szczątki Inki Kaksasa
Don Pedro uczynił gest potwierdzający.

— A czy nie wręczono panu rękopismu wraz z mumią?

— Nie — nigdy o nim nawet nie słyzałem.

— Więc pan Hope nie powtórzył panu tego, co mu opowiadałem?

Profesor usiadł, a twarz jego sposepniała.

— Pan Hope wspominał coś, że skradziono panu mumię.

— Nie mnie, lecz memu ojcu — sprostował z uśmiechem Don Pedro, nie spuszczać oczu z profesora. — Inka Kaksas był moim przodkiem, a ten rękopism (tu wyjął z kieszeni papier) zawiera opis jego pogrzebu.

— Dawaj pan! — zawołał profesor, chwytając rękopism, który chłonał chciwie oczyma.

— Wiesz już pan zapewne, że odzyskałem wczoraj moją własność — rzekł po chwili Bradock.

— Pańską własność? Mumia jest właściwie moją własnością — zauważył z godnością hidalgo.

Zaledwie znaczenie tych słów doszło do mózgu uczonego, skoczył wnet oburzony na równe nogi, wołając:

— Jak pan śmiesz mówić coś podobnego? Mumia jest moją, bo kupiłem ją i zapłaciłem drogo!

— Daję panu słowo honoru, że mumia ta została mi skradzioną przed trzydziestu laty — rzekł Don Pedro, wznosząc oczy ku niebu, przyczem więcej niż kiedykolwiek przypominał Don Kiszota.

— Nie podaję bynajmniej w wątpliwość pańskiego słowa honoru — odparł Bradock — co mi jednak wcale nie przeszkodzi zachować dla siebie zieloną mumię, wraz z klejnotami Inki Kaksasa.

— Znajdują się tam przedewszystkiem dwa niezmiernie cenne szmaragdy, które mumia trzyma w rękach, klejnoty te uważam za naszą własność rodzinną i muszę ją odzyskać.

— O nie! — odparł Bradock z ogniem — kupiłem mumię razem ze szmaragdami.

— Gotów jestem dowodzić praw moich na

drodze sądowej — rzekł Don Pedro, podnosząc z ziemi rękopism upuszczony przez profesora.

— I owszem, dam panu adres mego adwokata — odparł szyderez Bradock.

— Gdybyśmy byli w Limie, potrafiłbym poprzeć energicznie moje święte prawa — rzekł Don Pedro, który ze wzruszenia zaczął mówić po hiszpańsku.

— Nie wiele by to panu pomogło — odparł również po hiszpańsku profesor.

Don Pedro di Gajangos spojrział na niego zdumiony.

— Pan umiesz po hiszpańsku?

— Podróżowałem po Hiszpanii, byłem także w Peru i w Limie lat temu trzydzieści.

— Ach! tak! Więc byłeś pan tam wtedy, gdy Waza ukradł moją mumię?

— Nie słyszałem wówczas nic o żadnym Wazie, ani o pańskiej mumii.

— A jednak ja muszę odzyskać zwłoki mojego przodka — mówił Don Pedro podniesionym głosem.

— Nie uda się to panu — odparł z wściekłością Bradock.

Na szczęście w tej chwili właśnie wszedł Hope,

a obecność jego powstrzymała na chwilę zwadę. Bradock pośpieszył na jego spotkanie.

— Słuchaj Hope! Przyszedłeś właśnie w porę. Don Pedro utrzymuje, że mumia jest jego własnością, ja zaś twierdzę, że należy wyłącznie do mnie, ponieważ ją kupiłem.

— Ponieważ mumia nie może mieć dwóch właścicieli — rzekł Hope, siadając na krześle jak na koniu — postaram się pogodzić panów, dzieląc ich sprawiedliwie: Pan profesorze, odsprzedasz Don Pedrze mumię za cenę, za jaką ją kupiłeś, Don Pedro zaś wynagrodzi panu prócz tego poniesione straty.

— Nie jestem zbyt bogaty — rzekł hidalgo — wszelako gotów jestem dać to, czego żądacie.

— Przyjmuję te warunki — rzekł profesor. — Otworzę sarkofag w obecności Don Pedra, on weźmie szmaragdy, ja oglądnę mumię i porobię odpowiednie notatki, właściwie po to ją kupiłem. Poczem Don Pedro wystawi mi czek na tysiąc funtów i zabierze sobie mumię. Mam nadzieję, że nie sprawi mu ona tyle kłopotu co mnie.

Tu profesor skinął na Kakatoesa, który podał mu narzędzia potrzebne do otworzenia sarkofagu.

— Zgoda — rzekł krótko Don Pedro.

Hope ofiarował swoje usługi przy odpakowaniu mumii, ale profesor odrzucił je ze wzgardą.

— Nie znasz się na takich rzeczach — rzekł — ale w każdym razie dobrze, że będziesz obecny przy odpakowaniu sarkofagu, zwłaszcza o ile byśmy tam nie znaleźli szmaragdów.

— Dlaczego pan przypuszczasz, że się szmaragdy nie znajdują? — rzekł żywo Hope, wstając i zbliżając się do profesora.

— Nie zamordowano przecież Boltona bez przyczyny — odparł Bradock, wzruszając ramionami — i nie po to skradziono mumie, aby ją potem odnieść do ogrodu pani Jascher. Mam wielkie wątpliwości, co do tych szmaragdów. Czyżbym się zgodził inaczej na ten układ? — dodał półgłosem.

Złożywszy to uczciwe wyznanie, profesor przystąpił do otworzenia sarkofagu. Zielona skrzynia zabita była bardzo mocno, szczególnego kształtu drewnianymi trzonami i wyglądała jakby jej nikt nigdy nie otwierał od czasu, gdy złożono w niej zwłoki Inki Kaksasa. Wreszcie odbito wieko, a czterej świadkowie tej grobowej sceny przekonali się, że mumia była jednak naruszona.

Zielone powijaki przecięto, a w rozchylonych rękach nie było wcale szmaragdów.

Oskarżenie.

Don Pedro i profesor byli obaj wściekli z powodu okradzenia mumii. Hope nieuważał tego za niespodziankę, przewidywał bowiem z góry, że szmaragdy głównie skusić musiały złodzieja.

— To jasne — rzekł Bradock — że Bolton zamordowany został z powodu klejnotów, ale kto mógł je zabrać!? Kto mógł to zrobić?

— Ktoś, co znał treść rękopismu — odparł Don Pedro.

— Rozumie się, ale czy prócz tego egzemplarza, który pan posiadasz, kto inny jeszcze mógł mieć ten dokument?

— Być może, że istniała jaka kopia, a może nawet tłumaczenie, w takim razie mógł Waza o niem wiedzieć. Przypominam sobie nawet, że

ojciec mój opowiadał mi coś podobnego. Jeżeli tak było, Waza musiał ukraść szmaragdy, a potem dopiero odprzedał mumię paryskiemu antykwaryuszowi.

— W takim razie trzeba odszukać tego Wazę — rzekł Hope.

— Jeśli go odszukamy, każę go przyaresztować pod zarzutem kradzieży — groził Don Pedro.

— Ciekawy jestem, jakim sposobem poznasz go pan po latach trzydziestu — rzekł Bradock, wzruszając ramionami.

— Mam doskonałą pamięć — odpowiedział Don Pedro — a przytem posiadam pewne wskazówki, które mi to ułatwią. Ten Waza był kochankiem jednej z niewolnic mego ojca, Peruwianki, wyznającej religię Azteków. Dla przypodobania się tej dziewczynie, wytatuował sobie na lewej ręce poniżej łokcia emblemat tego kultu, którym jest słońce oplecione węzem. Prócz tego ma bliznę na lewej skroni i bardzo charakterystyczny kolor oczu, który tylko u niego widziałem. Po tych znakach poznałbym go z łatwością, o ile jeszcze żyje.

— Najlepiej by było — rzekł Hope — dać ten rysopis policyi i wyznaczyć nagrodę za jego znalezienie.

— Jak wysoką ma być ta kwota? — spytał Don Pedro.

— Sto funtów wystarczy zupełnie.

Hidalgo zapisał sobie tę cyfrę w notatniku.

— Udam się natychmiast do inspektora Date w Pierreside, i polecę mu zajęcie się tą sprawą. Mam nadzieję — dodał, zwracając się do profesora — że pan będziesz szanował ciało mego przodka w czasie swych badań.

— Możesz pan być spokojny, że nie znajdzie tam drugich szmaragdów — rzekł szorstko Bradock. — Kakatoes! odprowadź tych panów i czuwaj, żeby mi nikt nie przeszkadzał w moich badaniach.

Profesor rozkoszował się już przeszło godzinę oglądaniem zielonej mumii, gdy naraz zajęcie to zostało przerwane niespodzianem wtargnięciem kapitana Hirma Hervey. Krewki marynarz zaznaczył swoją obecność odrzuceniem w drugi koniec pokoju Kakatoesa, który mu bronił wstępu. Karzeł potoczył się po podłodze, przewracając kilka egipskich starożytności.

— Jak pan śmiesz traktować w ten sposób moją własność!? — zagrzemiał Bradock.

— To niech pańska własność nauczy się grzecznie postępować z ludźmi — odparł kapitan, stojąc na progu i żując swoje wieczyste cygaro. — Wyobrażasz sobie może, że stosować się będę do rozkazów głupiego karła? — A to co do stu piorunów!?

Wykrzyknik ten odnosił się oczywiście do zielonej mumii.

— A co!? Nie spodziewałeś się tego? — rzekł tryumfująco Bradock.

Hervey usiadł z cygarem w ustach i mrugnął dowcipnie w stronę sarkofagu.

— A kiedy będzie powieszony?

— Kto taki? — spytał Bradock, podskakując na siedzeniu.

— A ten, co ukradł te piszczele!

— Nie znaleziono go dotąd.

— Jakimże sposobem odzyskałeś pan swego machabeusza?

Profesor opowiedział mu wtedy, jak znaleziono mumię w ogrodzie pani Jascher.

— Niema w tem nic dziwnego — rzekł marynarz — było mu przecie po drodze wybrać to miejsce za cmentarz dla skradzionej maskary.

— O kim pan mówisz? — pytał zdziwiony Bradock.

— A o kimże, jeżeli nie o tym arystokracie, co zabił pańskiego sekretarza i przychodził potem bezczelnie na mój pokład, gdy przybyłem do portu w Pierreside. Ptaszkiem tym jest ów przeklęty pyszałek, jaśnie wielmożny baron Frank Random.

XVI.

Jeszcze rękopism.

Hervey wyszedł, zanim profesor zdołał się opamiętać, po tem zdumiewajacem wyznaniu. W pierwszej chwili chciał zawrócić marynarza, wyciągając z niego jeszcze bliższe szczegóły, wybiegł nawet za nim na dziedziniec dysząc jak automobil.

— Daj mi pan spokój! — ryknął od bramy marynarz, pokazując mu plecy — jeżeli wyznaczono sto funtów za odkrycie złoczyńcy, wolę udać się sam do tego żółtoskórego Meksykanina a choćby do inspektora Date.

— Ależ Random jest niewinny! — krzyczał profesor.

— Niech dowiedzie! — obstawał przy swoim Hervej.

— Czekaj pan! — wołał Bradock — musisz mi teraz wszystko powiedzieć.

Hervey zgodził się w końcu i usiadł na jednej z ogrodowych ławek.

— No! powiem zresztą — rzekł. — Otóż rzecz się tak ma. Ten przekłety arystokrata przyszedł na pokład mego statku i rozmawiał z Boltonem.

— O czym?

— Skądże u dyabła mogę wiedzieć — miałem wtedy dość na głowie z wylądowaniem mego towaru. — Wiem tylko, że gadali z sobą jakie pół godziny i usłyszałem parę słów, które Random rzucał na odchodnem.

— Cóż to były za słowa?

— Powiedział mu najpierw: »Będziesz pan tego żałował«, a potem: »Nie będziesz się pan czuł bezpiecznym, póki pan ją będziesz miał u siebie«.

— Niby mumię?

— Prawdopodobnie.

— Czemuż nie powiedziałeś pan tego odrazu inspektorowi?

— A po co? Wtedy nie było w tem żadnego interesu, co innego teraz, kiedy ten brazylijski magnat wyznaczył 100 funtów nagrody.

— Cóż się stało potem?

— Wieczorem po sprzeczce z Boltonem, arystokrata przyszedł do oberży pod *Spoczynek marynarzy*, i jak się później dowiedziałem, pił piwo

w ogólnej sali, choć nie jest to wcale miejsce stosowne dla pańskiego gagatka.

Bolton już był wtedy wylądował swój przekłety szkielet, a mój sternik widział jak baron rozmawiał z nim przez okno.

— Przecie to była kobieta!

— Marmuzela przyszła później, zupełnie już w nocy.

— Innych dowodów pan nie masz?

— I te wystarczą.

— W każdym razie nie dają podstawy do aresztowania barona.

— U nas w Stanach Zjednoczonych, mając połowę tych danych, skazanoby już go na zaelektryzowanie.

— Wszystkie te dowody niczego nie dowodzą.

— Owszem, dowodzą, że Random chciał mieć mumię. Pocóżby inaczej przychodził na mój pokład i ujadał się z pańskim zatraconym sekretarzem. Ostrzegał go widocznie, co mu grozi jeśli mu nie przehandluje zielonego szkieletu. Poszukajmy dalej — mówił Hiram Hervey, zapalając się coraz bardziej. — I pocóż Random zapłynął ze swoim jachtem aż pod sam hotel, chociaż ta dyabelska buda nie jest chyba odpowiednią salą do zabawy dla takich jak on fireyków. Ułożył widać

sobie odrazu, że wysadzi machabeusza przez okno i zabierze go na swój jacht, a gdy zwędził szkieletowi szmaragdy, zaniósł sam skrzynię z pogańskim czerepem do ogrodu pani Jascher i rzucił ją tam dla oszukania policyi.

Radzę panu przeszukać dobrze gniazdko tego panicza, a znajdziecie tam niezawodnie skradzione kamyki.

— Ależ to nadzwyczajne! — zadziwił się profesor.

— Nadzwyczajne łgarstwo! — dał się słyszeć głos jakiś z góry.

Był to Hope, który schodził po schodach z twarzą bladą i oburzoną.

— Jak pan śmiesz oskarżać Randoma, który jest niewinny — rzekł surowo do marynarza.

— A skąd pan wiesz o tem? — rzekł drwiąco Hervey.

— Wiem, że Random jest uczciwym i szlachetnym człowiekiem, a przytem to mój przyjaciel!

— To mu wcale nie przeszkodzi dyndać na szubienicy — odparł Hervey.

Bradock spojrział gniewnie na Hope'a.

— Jak śmiałeś nas podsłuchiwać moją panią?

— Jeżeli chcieliście panowie zwierzać sobie tajemnice, należało wybrać inne miejsce, nie zaś

siadać po środku dziedzińca i krzyczeć na cały głos.

— Czy dawno tu jesteś?

— Słyszałem wszystkie wywody kapitana.

— Najlepiej chodźmy do fortu zapytać samego Randoma — zaproponował profesor. — Hervey chodź i ty z nami, powtórzysz swoje oskarżenie baronowi.

— Nie odważaj się — rzekł pogardliwie Hope.

— Odważaj się, gdy przyjdzie czas na to, teraz jeszcze nie pora. — Muszę wpierw pójść do peruwiańskiego dona, zażądać należnych stu funtów. Bywajcie zdrowi.

Rzekłszy to marynarz wyszedł bez pośpiechu.

Zostawszy sami Hope i Bradock spojrzeli po sobie w milczeniu.

— Jedno jest pewnem — rzekł po chwili Hope — że Random dowiedział się o istnieniu szmaragdów w długi czas dopiero po zabójstwie Boltona.

— Don Pedro mógł mu o nich wspominać jeszcze w Genui.

— Trzeba napisać kilka słów do Franka, aby tu przyszedł.

— Napisz, a ja poszlę list przez Kakatoesa — zgodził się profesor.

Stało się tak, jak uradzili. Kanak pobiegł szybko do fortu, Archibald oczekiwał odpowiedzi z żywym niepokojem. — Wkrótce Kakatoes powrócił, donosząc, że zostawił list w mieszkaniu Franka, którego nie było w domu.

— A czemuż nie oddałeś go służącemu barona? — spytał Hope.

— Ja mu to poleciłem — objaśnił Bradock. — Lokaj barona jest najgłupszym żołnierzem z całego pułku, zgubiłby list lub oddałby go komu innemu.

Archie nie pytał dłużej, uważając ten szczegół za całkiem nieznaczący.

— Chodźmy lepiej sami do fortu — zaproponował profesor.

Archibald zgodził się na to chętnie i po chwili byli już w drodze.

Gdy przybyli, wprowadzono ich bez trudności do mieszkania młodego oficera, jako dobrych jego znajomych. Random nie był jeszcze powrócił, czekali więc na niego, zabawiając się przeglądaniem jego książek.

— Widzę tu całą bibliotekę o Ameryce południowej — zauważył profesor. — Random chce się widocznie zaznajomić z ojczyzną przyszłej swej żony.

Mówiąc to, Bradock zdejmował kolejno książki umieszczone na wiszącej półce.

— Ratuj mnie Hope — zawołał nagle — oberwałem sznury od półki.

W istocie półka z książkami upadła z łoskotem na podłogę. Zbierając z pomocą Archibalda rozrzucone kartki i papiery profesor krzyknął nagle ze zdziwienia.

— Patrz, rękopism Don Pedra przetłumaczony — rzekł, przebiegając oczyma papier, który trzymał w ręku.

— Być nie może! — zawołał Archibald, rzucając przelotne wejrzenie na rękopism poblakły ze starości.

W tej chwili Random wszedł do pokoju.

— Bardzo mi przykro, że kazałem panom czekać na siebie — rzekł uprzejmie.

— Nędzniku! Więc to ty jesteś mordercą! — zawołał profesor.

Przypadkowy zbieg okoliczności.

Random tak był zdziwiony tą gwałtowną napacją, że zatrzymał się w progu nie wchodząc do środka. Zdawał się być jednak raczej ubawiony niż zastraszony, a wyraz jego twarzy utwierdził Archibalda w przekonaniu o jego niewinności.

— O kim mówisz profesorze? — zapytał wreszcie.

— Sam pan wiesz dobrze, że o tobie — odparł zgryźliwie Bradock.

— Cóż znowu? Nic nie rozumiem! Może ty Hope wytłumaczysz mi o co chodzi.

— Hope nie może panu powiedzieć nic takiego o czem byś sam nie wiedział. — Nikczemność pańska wyszła na jaw!

Random zmarszczył brwi.

— Słuchaj pan — rzekł do profesora. — Wiek

pana i stanowisko, a zwłaszcza znane dziwactwo każą mi wiele panu wybaczyć. Dziś jednak posu-
nałeś się pan za daleko i odpowiesz mi za to.

— Posłuchaj Random! — rzekł Hope — ja ci
wszystko wyjaśnię.

Tu opowiedział pokrótce dziwaczne oskarżenia
Herveya.

— A więc to tak? — zawołał oburzony mło-
dzieniec — i panowie wierzycie temu?

— Ja nie — odparł gorąco Archie.

— A pan profesorze?

— Sam nie wiem, co mam myśleć — odrzekł
profesor.

— A więc — rzekł zimno Random — teraz
ja żądam wyjaśnienia, i nie wyjdiesz stąd panie
Bradock póki mi ich nie udzielisz.

To mówiąc, zamknął drzwi na klucz i sam
usiadł naprzeciw niego.

— Teraz mów pan, jakie dowody masz prze-
ciw mnie?

— Oto jeden — zawołał Bradock, rzucając na
stół rękopism.

— Cóż to jest?

— Kopia dokumentu należącego po Don Pedra.

— Rozumiem — rzekł Random — chcesz pan
twierdzić, że wiedziałem o istnieniu szmaragdów?

— A skądże pan masz ten rękopism?

— Nie mam pojęcia, jak się tu znalazł, wiem tylko, że widzę go po raz pierwszy.

— Może to Don Pedro zostawił go u pana — podsunął Archie.

— Nie sędzę, Don Pedro nie rozstawałby się tak łatwo z dokumentem, do którego jest tak przywiązany.

— Kapitan Hervey twierdzi — mówił dalej Bradock — żeś pan rozmawiał z Boltonem w dzień morderstwa.

— Niema w tem żadnej tajemnicy — odparł Random — proponowałem mu odprzedanie mumii dla Don Pedra di Gajangos, ale on odmówił, twierdząc, że profesor nie zechce się jej pozbyć.

— Groziłeś mu pan podobno w razie gdyby nie spełnił twego żądania.

— To mi nawet na myśl nie przyszło.

— Hervey jednak słyszał jak pan mówiłeś do Boltona, że będzie żałował jeśli zatrzyma mumię, i że nie będzie już nigdy bezpieczny.

Ku wielkiemu zdziwieniu Hopa, Random przyznał, że wyrzekł istotnie te słowa, wyjaśnił to jednak w następnym sposób:

— Don Pedro opowiadał mi, że uważanym jest w swojej ojczyźnie za jedynego potomka kró-

lewskiej rodziny Inkasów, to też wierni jego stronnicy wiedzą o istnieniu mumii, i gorąco pragną powrotu jej do Limy. Gdyby się dowiedzieli, że świętość ich znajduje się w niepowołanych rękach, wyprawiliby niezawodnie kilku z pośród siebie do Europy ażeby ją odzyskać. W razie oporu ci fanatycy nie cofnęliby się nawet przed morderstwem, byle zdobyć na nowo ukochanego fetysza. To był właśnie powód dla którego ostrzegąłem Boltona.

— Ależ w takim razie rzecz wyjaśnia się sama przez się. Widocznie to Indianie musieli zamordować Boltona — rzekł Hope.

— To niemożliwe — zaprzeczył Random. — Indianie nie wiedzieli jeszcze, że mumia znajduje się w jego rękach.

— A czy widziałeś Boltona po spotkaniu waszem na pokładzie «Nurka»?

— Ależ tak — odpowiedział z całą swobodą Random — przechadzając się wieczorem po wybrzeżu, obaczyłem Boltona w oknie hotelu i zamieniłem z nim kilka słów. Potem zaszedłem jeszcze do restauracyi hotelowej, gdzie jadłem kolację, jednocześnie zaś dowiedziałem się, że Bolton wyprawia mumię wczesnym rankiem, a sam podąży za nią trochę później.

Potrzebowałem tych szczegółów dla Don Pedra

i tegoż dnia jeszcze odjechałem do Londynu, skąd miałem mu je telegrafować. Gdym powrócił, kradzież i morderstwo były już faktem dokonanym. A teraz kiedy wam już wszystko powiedziałem, czy wierzycie w moją niewinność?

— Ależ tak — zawołał Bradock, wstając — jestem przekonany, żeś pan tu całkiem czysty i przepraszam za niesłuszne osądzenia.

— Co do mnie, ani przez chwilę nie podejrzewałem cię — upewnił Hope.

— Dziękuję wam — rzekł Random, ściskając ich ręce i odprowadzając do drzwi.

Gdy wyszli, Frank usiadł zamyślony patrząc na rękopism.

— Podrzuciono mi widocznie ten papier — rzekł do siebie. — Tylko wróg śmiertelny mógł popełnić taką niegodziwość.

XVIII.

Odkryty.

Lucya postanowiła za wszelką cenę pogodzić profesora z panią Jascher i nawiązać zerwane małżeństwo. W tym celu udała się do wdowy, a siedząc z nią w różowym saloniku, usiłowała wzbudzić w niej łaskawsze uczucia dla swego ojczyma. Pani Jascher czuła się jednak zbyt urażoną, aby tak łatwo przebaczyć. W tem najniespodziewaniej w świecie, profesor sam wtargnął nagle jak uragan do mieszkania wdowy, przerywając zwierzenia dwóch kobiet.

— Dzień dobry Selino! — rzekł, nie zdając się dostrzegać lodowatego zachowania się małej wdowy. — Jakże się czujesz dzisiaj?

— Trudno żebym się dobrze czuła po tem, co mi pan wczoraj zarzucił — odparła sucho pani Jascher.

— Głupstwo! Selino. Nie będziesz przecie brała do serca takiej drobnostki. Zresztą przyszedłem cię przeprosić.

— A więc nie uważasz mnie już za współniczkę tego ohydneho morderstwa?

— Ależ oczywiście, byłem wczoraj w gniewie i mówiłem bez zastanowienia. Wiem, że jesteś niewinna, mimo, że znaleziono mumię w twoim ogrodzie. Co prawda większe są poszlaki przeciw Frankowi Random, chociaż i on zdołał się usprawiedliwić. — Pewien jestem, że ten Hervey musi być ostatnią kanalią.

Łucya i pani Jascher spojrzały po sobie, nie rozumiejąc o co chodzi. Nie zważając na ich zdumienie, profesor usiadł, a pocierając wciąż swoją łysinę perorował coś bez związku.

— Chodziłem z Archibaldem do zatoki, można było wybornie odpłynąć nie zostawiając po sobie śladów. — Tak też musiało się to odbyć. Trzeba tylko wpieryw rozmówić się z Herveyem i Don Pedrem.

— Co mówisz ojcze? Co to wszystko ma znaczyć? — pytała Łucya.

— Znaleziono rękopism u Randoma w salonie, a szmaragdy znikły.

— Szmaragdy znikły? — krzyknęła wdowa.

— A znikły, właśnie o tem mówię. Uwierzyłbym prawie oskarżeniu Herveya, gdyby nie to, że ten kochany Frank umiał się tak doskonale obronić.

Tu profesor opowiedział obu kobietom, jakie zarzuty robił Hiram Hervey młodemu baronowi.

Łucya i pani Jascher wysłuchały opowiadania tego z ogromną ciekawością, przerywając je częstymi wykrzyknikami. Łucya przyjęła z oburzeniem wiadomość o oskarżeniach podniesionych przeciw Frankowi Random.

— Ależ to oburzające! to idiotyczne! — wołała — pójdę zaraz do Archibalda i poproszę go, aby ujął raz tę sprawę w swoje ręce. — Wczoraj posądzano panią Jascher, dziś Franka, nie będziemy mieć chwili spokoju, póki nie znajdzie się prawdziwy winowajca.

Powiedziawszy to, wybiegła szybko, zostawiając uczonego w towarzystwie powabnej wdowy, z którą się ostatecznie pogodził.

Łucya zapukała do mieszkania Archibalda, ale nie było go w domu, a gospodyni jego nie umiała powiedzieć kiedy powróci.

Po drodze do Piramid zatrzymała ją wdowa Bolton zawsze jęcząca i prosiła, aby Łucya upomniała się u Archibalda Hopa o suknię jej, którą mu pożyczyła dla jednej z jego modelek.

— Udaj się z tem pani do samego pana Hope — zbyła ją niecierpliwie Łucya, która nie miała ochoty tracić czasu na próżne gadania, a wiedziała, że wdowa Bolton nie łatwo się da odprawić. — Pan Hope odda pani niezawodnie to ubranie, jeśli je istotnie pożyczyl.

— Pożyczył panienko do malowania, ale choćby i oddał, to pewno zabazgrał je na nic swojemi farbami — jęczała stara. — Prosił o nie jeszcze mojego syna świętej pamięci Sida, bo potrzebował ich do jakiegoś obrazu. Sid też zabrał je odemnie. Była tam ciemna bronzowa suknia, czarny szal w ponsowe centki i czepiec, który mam jeszcze po matce.

— Spytaj się więc pani samego pana Hope — powtórzyła niecierpliwie Łucya, wyrwijąc swoją suknię z rąk wdowy Bolton.

W pierwszej chwili ta wzmianka o pożyczonych sukniach nie zwróciła jej uwagi, w jakiś czas dopiero przypomniała sobie ową kobietę ciemno ubraną, która miała rozmawiać z Boltonem w dzień morderstwa. Dreszcz wstrząsnął biedną Łucyą na myśl, że i jej Archibald może być wplątany w to zawiłe pasmo zagadek. Po co w istocie pożyczzał te suknie? Kto miał z nich korzystać? Postanowiła wypytać go dokładnie za najbliższem widzeniem się.

Przy obiedzie profesor był w doskonałym humorze, i oznajmił, że oczekuje dziś odwiedzin Don Pedra, z którym się musi porozumieć w sprawie rękopismu znalezionej u Franka.

— Czy Archie i ja będziemy mogli być obecnymi przy tej rozmowie?

— Ależ naturalnie, im więcej świadków tem lepiej, musimy użyć wszelkich sposobów, aby raz wyświetlić tę sprawę.

Don Pedro przybył natychmiast po obiedzie i zasiadł wraz z profesorem w muzeum wśród sarkofagów. — Archie i Łucya pospieszyli tam za nimi. Łucya była tak przejęta tą rozmową, że zapomniała powtórzyć narzeczonemu zlecenia Anny.

Z wielkiem zdziwieniem Don Pedro wysłuchał oskarżenia przeciw Frakowi Random i oświadczył, że wcale w nie nie wierzy.

— Chciałbym widzieć tego kapitana Hervey, abym mógł powiedzieć mu w oczy, co myślę o tem oszczerstwie.

Zaledwie wyrzekł te słowa, drzwi się od muzeum otworzyły, i amerykański kapitan stanął na progu. Hervey zdawał się być bardzo ubawionym ogólnem zdziwieniem, jakie wywołało jego wejście i szedł ku zgromadzeniu swym kołyszącym się krokiem marynarza z wiecznym cygarem w ustach.

— Przepraszam panów, że wszedłem tu bez zaproszenia — rzekł tonem o wiele grzeczniejszym niż zwykle — ale gonię już od paru godzin za panem (tu zwrócił się do Don Pedra). Powiedziano mi na poczcie, że pan tu jest, przyszedłem więc, aby mieć z nim krótką rozmowę.

Peruwiański hidalgo spojrział na marynarza, którego twarz była jaskrawo oświecona światłem reflektorów muzealnych, i podniósł się uprzejmie na jego przyjęcie.

— Bardzo mi przyjemnie poznać pana — rzekł z wyszukaną grzecznością — proszę, zechciej pan usiąść obok mnie, jeśli szanowny nasz gospodarz pozwoli nam porozmawiać pod swoim dachem.

— Ależ naturalnie, naturalnie! Kakatoes podaj panu krzesło — rzekł profesor z niezwykłą grzecznością.

— Przepraszam! pozwoli pan — przerwał Don Gajangos i sam podsunął krzesło Herveyowi, zapraszając go, by usiadł przy nim.

Gdy kapitan spełnił jego życzenie, hidalgo zaproponował mu papierosa z własnej srebrnej papierośnicy.

— Dziękuję, palę tylko cygara, jeżeli pani pozwoli — rzekł zwracając się do Łucyi.

— Ależ naturalnie, proszę bardzo — odrzekła

Lucya, zdziwiona równie jak reszta obecnych wyjątkowymi względami, jakie Don Pedro zdawał się okazywać gwałtownemu marynarzowi. W tej chwili Don Gajangos upuścił papierośnicę, która upadła tuż obok stóp Herveya, tak, że ten mimo wrodzonego braku uprzejmości, czuł się jednak w obowiązku podjąć ją i podać żółtoskóremu donowi, jak zwykł był mianować Peruwiańczyka.

Gdy wyciągnął rękę podając ową papierośnicę, błysk zadowolenia zamigotał w oczach Don Pedra, który skłonił mu się poważnie mówiąc:

— Dziękuję ci Waza.

Obok prawdy.

Usłyszawszy te słowa, Hervey skoczył jak oparzony i zmienił się na twarzy jak gdyby go kto dotknął rozpalonem żelazem. Zapanowało nagłe milczenie, które trwało kilka minut, ale cisza ta była tylko zapowiedzią groźnej burzy zbierającej się nad głową Jankesa. Profesor tylko, nie zdawał się wcale wzruszony i chichotał szyderyczo, zadowolony widocznie z tego obrotu rzeczy. Hiram Hervey odzyskał pierwszy zimną krew i rzekł spojrzawszy zuchwale na Don Pedra.

— Zapłacisz mi głową za to oszczerstwo.

— Nie zdaje mi się — odparł zimno hidalgo. — Poznałem cię odrazu, bo twarz twoja została mi aż nadto w pamięci. Poznałem także twój głos, gdyś zaczął mówić.

Umyślnie też zaproponowałem ci papierosa, aby cię zmusić do wyciągnięcia ku mnie ręki, na której masz wytatuowane słońce oplecione węzłem. Pamiętasz zdrajco Lolę Farjados, na której cześć napiętnowałeś się tym symbolicznym znakiem? Wszystko to działo się przed trzydziestu laty, miałeś wtedy dwadzieścia lat, dziś masz ich pięćdziesiąt, co mi jednak nie przeszkodziło poznać cię od pierwszego wejrzenia.

— Wszystko to kłamstwo! — rzekł Hervey, siadając.

— Profesorze! Panie Hope! bądźcie świadkami, czy człowiek ten nie jest zupełnie podobny do rysopisu, który skreśliłem wam dokładnie.

— Ależ najzupełniej — zawołał Archie — widać to odrazu, pominąwszy owe tatuowanie na lewym ręku, którego na razie nie mogłem sprawdzić.

Hervey palił spokojnie cygaro i nie okazywał najmniejszej gotowości do ukazania na światło dzienne owego symbolu Azteków. Tu niespodzianie Bradock przyszedł w pomoc Don Pedrowi.

— Ten człowiek jest niewątpliwie Wazą — rzekł — poznałem go także, bo widziałem go przed trzydziestu laty w Ameryce, zaraz po wojnie.

Słyszając to Hervey, obrócił się z krzesłem w stro-

nę profesora, a w spojrzeniu, które rzucił z ukosa na małego uczonego przebijał odcień złościwości.

— Myślałem — rzekł powoli swoim przewlekłym akcentem — że pan nie będziesz taki głupi, aby stawać po stronie żółtoskórego Dona.

— Poznałem cię już dawno — rzekł sucho profesor — jeszcze wtedy, kiedym się z tobą układał o przewóz mumii.

— Wszystko to nie należy do rzeczy — zauważył Don Pedro. — Kapitanie Hervey, zaprzeczasz więc jakobyś był Gustawem Wazą?

Za całą odpowiedź kapitan zawiązał rękaw i pokazał wszystkim tatuowane miejsce.

— Możecie to oglądać, jeżeli się wam podoba — rzekł — co zaś do tego, czy nazywam się Waza czy Hervey, to już nikogo nie obchodzi. Jestem obywatelem całego świata. Ot co!

— I złodziejem! — zawołał Don Pedro.

— Powiedz pan, co zrobiłeś z rękopisem? — podchwycił szybko Archie.

— Słuchajcie — rzekł Hervey — gdyby nie było tu tej panny (ukazał na Łucyę) pokazałbym tej pomarańczowej małpie, że mu nie wolno kręcić mną, jak pierwszym lepszym murzyńskim brudasem, zwłaszcza, gdy mi się to nie podoba.

— Lucy, moje dziecko — rzekł profesor —

wyjdź proszę cię, a może wtedy kapitan udzieli nam potrzebnych objaśnień.

Lucya posłuszna wezwaniu wyszła z pokoju.

— A teraz powiedz nam, coś zrobił z rękopismem? — pytał Don Pedro.

— Nie wiem, może oddałem go temu, który kupił mumię a ten musiał go odprzedać kolekcjonście z Malty.

— To być nie może — zaprzeczył profesor — Bolton pisał mi tysiące szczegółów o mumii, nie wspomniał zaś ani jednym słowem o rękopiśmie.

— Bo wolał go odczytać sam dla siebie — zauważył cynicznie Hervey — rozumiał się przecie na tych znakach.

— Czy chcesz pan przez to powiedzieć, że wiedział o istnieniu szmaragdów, i zamierzał je sobie przywłaszczyć?

Hervey zrobił ruch potakujący.

— Z pewnością już on sobie dobrze obmyślił jak zwędzić kamyki — a potem chciał zakopać do ziemi zielony czerep.

— Mógł je przecie ukraść jeszcze na pokładzie pańskiego statku.

— To nie. — Jabym mu na to nie pozwolił, chyba gdyby się był ze mną podzielił.

— I śmiesz pan przyznawać się do tego głośno?

— Śmiem zawsze robić wszystko, co mi zysk przynosi — nie pytając o zdanie żadnych żółtoskórych donów — to też i panu radzę siedzieć cicho i nie wtrącać się do moich interesów.

Słowa te zwrócone były do Don Pedra, który wyciągnął rękę chcąc uchwycić za kołnierz zuchwalca, ale kapitan cofnął się szybko pod ścianę i błyskawicznym ruchem wydobył z kieszeni rewolwer którym zmierzył prosto w hidalga. Lecz Hope podbił mu szybko rękę, rewolwer wypalił w górę, a kula przebiła sufit.

— Boże jedyny! Łucya! — zawołał Archie, przypomniawszy sobie, że Łucya przebywa zwykle w salonie, położonym bezpośrednio nad muzeum. I wypadł przerażony spiesząc na górę.

Hervey zdawał się być zażenowany swoim postępkiem i rzekł, zwracając się do Don Pedra:

— Przepraszam pana.

Don Pedro skłonił się w milczeniu.

— Do dyabła! — krzyknął profesor — o mało nie zastrzeliłeś mojej pasierbicy. — Ale w tej chwili Łucya weszła do Muzeum, oparta na ramieniu narzeczonego. Była trochę blada, ale na szczęście nie odniosła żadnej rany.

— Pani daruje — rzekł Hervey, kłaniając się Łucyi.

— Ale ja ci nie daruję łotrze! kości ci połamię, jeżeli poważysz się raz jeszcze użyć rewolweru.

— Uspokój się Archie — mówiła Łucya, chcąc załagodzić sprawę — nie mi się przecie nie stało, a przekonana jestem, że kapitan nie będzie strzelał w mojej obecności.

— Z pewnością miss — rzekł z galanterią marynarz.

W parę minut potem do sali wszedł Frank Random w towarzystwie Donny Inez.

— Przychodzę — rzekł — aby objaśnić państwu sprawę rękopismu.

— O nim właśnie mówimy — odparł Don Pedro. — Czy wiesz pan już w jaki sposób znalazł się w pańskim pokoju?

Na to Random rzekł, ukazując palcem na Herveya.

— To ten łotr podrzucił go między moje papiery.

XX.

List.

Zachodziła obawa, że marynarz pod wpływem tej zniewagi, użyje powtórnie rewolweru, ku wielkiemu jednak zdziwieniu obecnych, Amerykanin ani drgnął.

Zwrócił się tylko do Randoma pytając ironicznie.

— Chciałbym wiedzieć, dlaczego to jaśnie wielmożny pan chce wmówić we mnie ten postępek.

— Zaraz panu odpowiem: Przychodziłeś pan przecie do mnie przed dwoma dniami.

— A tak, chciałem przedstawić panu moje odkrycie, bo myślałem, że dowiedziawszy się o niem dasz mi pan znaczniejszą kwotę, aby mi zamknąć usta. — Nie było pana w domu, ale pokazano mi pański pokój, gdzie też wszedłem.

— Jakiem prawem wszedłeś pan do mego mie-

szkania w mojej nieobecności i przebywałeś tam czas jakiś?

— Z pewnością, aby panu podrzucić papier — rzekł szyderczo kapitan.

— Papier, który ukradłeś sam przed trzydziestu laty wraz z mumią — mówił surowo Don Pedro. — Co do mnie, oskarżam cię także o mordstwo Boltona.

— Głupstwo! — odparł zuchwale kapitan. — Gdybym chciał wyeksperymentować Boltona na tamten świat, potrafiłbym załatwić się z nim jeszcze na statku. — A któżby mi przeszkodził wrzucić go w morze?

Słuszność tego argumentu uderzyła wszystkich, co widząc Hervey, wstał i pożegnał towarzystwo, mówiąc:

— Jeżeli panowie macie ochotę zlynchować mnie, to zostawiam wam mój adres. Mieszkam w hotelu: *Spoczynek marynarzy*, gdzie zabawię jeszcze tydzień, potem odpływam na połów pereł, via Londyn-Algier. Przedtem jednak mam nadzieję opowiedzieć wszystko inspektorowi Date, który wsadzi niezawodnie do ula jaśnie wielmożnego arystokratę.

To mówiąc skłonił się ironicznie w stronę Franka Random.

Po jego wyjściu, milczenie zaległo pokój. Nikt nie wiedział co począć i co myśleć o groźbie rzuconej przez marynarza.

— A jeżeli to była Anna Bolton? — przemówiła wreszcie Łucya.

Wszyscy zwrócili się do niej.

— Któż to jest Anna Bolton? — spytał Don Pedro.

— Matka zamordowanego Sidneja, ale co chciałaś o niej powiedzieć Lucy? — zapytał Archibald. Na pytanie to, Łucya odpowiedziała innem.

— Powiedz Archie, czy prosisz Sidneja, aby ci pożyczył suknię swej matki do jakiegoś obrazu?

— Nigdy w życiu! — zadziwił się Hope.

— A przecież Anna mówiła mi dziś, że syn jej pożyczał ci suknię jej i szal czarny w ponsowe centki.

— To nieprawda. Ciekawym, w jakim celu to wszystko wymyśliła.

— Bo widzisz — mówiła powoli Łucya — myślałam, że może to wdowa Anna była ową kobietą, która rozmawiała z Boltonem w dzień morderstwa. Wymyśliła więc może tę historję z suknią na wypadek gdyby się rzecz odkryła.

— Pójdę do niej jutro, aby ją pociągnąć za język — odparł Hope.

— Słuchaj Random, ta kobieta chodzi czasem do ciebie, może to ona?

— Rozumiem, chcesz powiedzieć, że to ona mogła mi podrzucić rękopism, na polecenie swego syna. Rzeczywiście, przychodzi do mnie dość często odnosząc mi bieliznę, jest bowiem moją praczką.

— Zaczynam jednak przypuszczać — rzekł Hope — że Hervey miał słuszość, utrzymując, że Bolton poznawszy treść rękopismu, postanowił przywłaszczyć sobie szmaragdy. Znalazł się jednak ktoś, co mu odkradł ten pomysł i wyeksperymentował go na tamten świat, zabrawszy klejnoty.

— W takim razie Anna Bolton mogła mi istotnie podrzucić ten papier.

— Zapewne Bolton mógł jej to polecić, w nadziei, że w takim razie ty zostaniesz posądzony o kradzież szmaragdów.

— Cóż pan o tem myśli? — zapytał nagle Random, zwracając się do Don Pedra.

Don Gajangos ujął wtedy rękę córki i złożył ją w dłoni młodzieńca.

— Oto moja odpowiedź — rzekł z godnością.

— Dziękuję panu — rzekł gorąco Random, ściskając serdecznie dłoń przyszłego teścia. —

Łatwo sobie wyobrazić, jak bardzo czuł się szczęśliwym.

W domu jednak czekała go nowa niespodzianka. Na stole zastał list datowany z Londynu. Był to list bez podpisu, pismo było widocznie zmienione. Rzucił nań okiem z ciekawością i przeczytał co następuje:

»Jeżeli sir Frank Random chce ocalić swoją zachwianą reputację, i odsunąć od siebie wszelkie poszlaki dotyczące morderstwa Boltona, niech zgłosi się na umówione miejsce w Londynie, gdzie pewna osoba dostarczyć mu może potrzebnych dowodów. Osoba ta żąda w zamian za tę usługę pięćset funtów, które mogą być doręczone posłańcowi, który wręczy w zamkniętym liście niezbite dowody niewinności pana Franka Random. Gdyby pan Random chciał się zwrócić do policyi, narazi się sam na wielkie niebezpieczeństwa, gdyż osoba owa może go zgubić, ogłaszając przeciw niemu bardziej jeszcze obciążające dowody.

Uprasza się o odpowiedź w anonsach Morning Paper w rubryce »Sprawy osobiste«.

P. S. »Nie ufaj zdrajcom«.

We własnych sidłach.

Wesoły ogień płonął na kominku w różowym saloniku pani Jascher. Lamy przyćmione abażurami i zapuszczone firanki wytwarzały niezmiernie miły zaciszny nastrój, a przecież właścicielka tego uroczego gniazdka była widocznie czemś wzburzoną.

Chodziła niespokojnie po pokoju pogrążona w przykrych rozmyślaniach, a z ust jej wypadały od czasu do czasu urywane wykrzykniki.

— Wielki już czas, abym poślubiła profesora, inaczej wierzyciele mnie zjedzą — mówiła, zatrzymując się przed lustrem — i wyjadę stąd uboższą niż przybyłam, a o wiele starszą. I znowu rozpocznie się codzienna walka z nędzą i rozpaczą. Nie, trzeba raz z tem skończyć, profesor musi się natychmiast ze mną ożenić.

Niewesołe te rozmyślania przerwało wejście pokojowej, która podała jej na tacy bilet wizytowy Franka Random.

— Trochę już zapóźno na wizytę, ale prosz, może się rozerwę — rozkazała wdowa, zgartując szybko rozrzucone papiery i listy do stylowego biurka. Zamknąwszy na klucz szufladkę, poprawiła włosy i podniosła się z uśmiechem na przyjęcie gościa.

— Bardzo się cieszę, że pan przyszedł — mówiła, podając rękę Frankowi — usiądź pan, proszę, a każę natychmiast podać czarną kawę z likierem.

— Nie, dziękuję — odparł Frank trochę sztywnie — przed chwilą skończyłem obiad u znajomych i piłem już czarną kawę.

— To prawda, widzę, żeś pan w pełnym uniformie, co za zaszczyt dla mego skromnego saloniku. — Ale cóż to znaczy, że nie jesteś pan przy boku panny Inez, była dziś u mnie wraz z Lucy, i mówiła o swoich zaręczynach z panem. Przyjmij pan proszę najserdeczniejsze moje życzenia.

— Dziękuję pani — rzekł sucho Random — przyszedłem tu mimo spóźnionej pory, bo chciałem z panią pomówić.

— Jaki pan dobry — mówiła spokojnie wdowa,

usuwając się z wdziękiem na fotel — dowiedziałeś się pan zapewne, że jestem lekko zaziębioną i z tego powodu nie wychodzę, i odwiedziłeś biedną samotnicę, podaj mi pan proszę wachlarz.

Stosunki wdowy z Frankiem były zawsze bardzo serdeczne, nie zdawała więc sobie sprawy z jego dzisiejszej sztywności.

— Istotnie chciałem panią widzieć — rzekł chłodno Random — spełniając jej życzenie.

Ale czy nie znajduje pani, że jest tu ogromnie duszno, czy mogę otworzyć okno?

— Co panu w głowie, drogi panie, zaziębiłbyś mnie pan na śmierć, mam przecie influencję.

— Bo widzi pani, te perfumy takie mocne.

— Moje perfumy? Ale za to ślicznie pachną, prawda? Nikt inny niema podobnych. — Mówiąc to, podała Frankowi koronkową chusteczkę silnie naperfumowaną.

Random wziął ją i podniósł do nozdrzy, wciągając jej zapach, a jednocześnie niezrozumiały błysk tryumfu zaświecił w jego oczach.

— Więc nikt prócz pani nie używa takich perfum?

— Przynajmniej nikt w Anglii. Przysyłają mi je corocznie z Chin, a że jestem o nie bardzo za-

zdrosną, nie daję nikomu, nawet Łucyi, która mię o to nieraz prosiła.

— A mogłaby pani na to przysiąc?

— Szczególne pytanie! — Ale prawda, że zapach ten jest bardzo miły?

— I bardzo trwały — dodał Frank, patrząc jej prosto w oczy.

— Cóż to ma znaczyć?

— Że leczysz się nim pani zapewne z kataru, którego się nabawiłaś w swojej wczorajszej wycieczce.

— Wycieczce? Przecież nie wychodzę.

— Byłaś pani wczoraj w Londynie, aby tam wrzucić list.

Usłyszawszy te słowa, mała wdowa zbladła pod różem, który miała na policzkach, a ręka jej ścisnęła tak mocno wachlarz, że ten trzasnął na drobne kawałki.

— Nie byłam wcale w Londynie — syknęła z gniewem.

— Owszem, wyprawiałaś pani stamtąd ten list wczoraj o siódmej wieczorem. — Mówiąc to, podsunął jej przed oczy anonimową kartkę.

Pani Jascher była blizką omdlenia. — Uniosła się z trudnością z fotelu, mówiąc:

— Nie rozumiem, co to ma znaczyć. — Nie

jeździłam wcale do Londynu, nie wyprawiałam żadnego listu. Jeżeli pan przyszedłeś tutaj, żeby mnie obrażać...

— Niema w tem chyba obrazy — rzekł spokojnie Random — że zadam pani kilka pytań. Otrzymałem dziś list anonimowy z Londynu, pismo było zmienione — ale mimo tylu ostrożności, zapomniałaś pani o jednym. Te perfumy...

— Moje perfumy! — zawołała mimowolnie pani Jascher, widząc, że dała się złapać.

— Tak jest, list był przesiąknięty zapachem który natychmiast poznałem. — A że pani sama upewniasz, że nikt w Anglii nie używa podobnych perfum...

— Ależ to wszystko kłamstwo! — przeczyła rozpaczliwie wdowa — nie pisałam żadnego listu, pan jesteś łotrem, który chce zgubić niewinną kobietę.

Polor światowy opadał z niej w tej chwili, odsłaniając zwyczajną awanturnicę.

Random oburzony, nie myślał jej także oszczędzać.

— Nie wypieraj się pani daremnie, sprawdziłem już każdy krok pani, widziano panią na stacyi i poznano panią.

— To niemożliwe, byłam przecie... — tu urwała, widząc, że się niebacznie zdradza.

— Tak, byłaś pani przebrana i osłonięta gestym woalem — ale to nic nie pomogło. Słowem, to pani napisałaś do mnie ten list, który jest podłym szantażem. — Proszę mi teraz wytłumaczyć.

— Nie mam nic do wytłumaczenia — broniła się uparcie wdowa — nie pisałam do pana żadnego listu.

— Jeżeli tak, zwrócę się natychmiast do policji — rzekł Random kierując się ku drzwiom.

Pani Jascher pobiegła za nim.

— Na miłość Boga, nie rób pan tego.

— Więc powiedz mi pani, kto zamordował Sidneja Bolton.

— Przysięgam, że nie wiem.

— To być nie może, pisałaś przecież w tym liście, że możesz dostarczyć dowodów za lub przeciw morderstwu.

— Mimo to nie wiem nic, potrzebowałam pieniędzy, wymyśliłam więc to wszystko, aby je od pana wydobyć.

— Pięćset funtów! ładny grosz — rzekł sarkastycznie Random, chowając list do kieszeni. — Nigdybym panią o to nie posądzał.

Pani Jascher wstała załamując ręce.

— Słuchaj pan — rzekła. — Dotąd zwodziłam pana, ale teraz powiem całą prawdę.

— O morderstwie?

— Nie, o morderstwie nic nie wiem, tylko o sobie.

Random wzruszył ramionami.

— Więc najpierw o sobie, potem opowiesz mi pani szczegóły zbrodni.

— Przysięgam, że o tem nic nie wiem, list który do pana pisałam, jest kłamstwem.

— Więc przyznaje pani, że go pani pisała.

— Przyznaję, niemam już sił na dłuższą walkę.

— Jaką walkę?

— Z nędzą. Nic tylko długi. Wierzyciele.

— Przecież odziedziczyłaś pani majątek?

— To także kłamstwo. Nie miałam żadnego brata, nie znam wcale Chin, mimo, że otrzymuję stamtąd rzeczywiście owe perfumy, jako podarunek noworoczny. Mimo to nie jestem wcale tak złą, za jaką mnie pan uważasz. Chciałam po prostu wyjść za profesora Bradock i ustalić przez to swój los. Potrzebowałam tych pięciuset funtów, aby je pożyczyć profesorowi na jego badania, a sądząc, że pan jest bogaty, zwróciłam się do pana z tem żądaniem. Myśl do tego podało mi oskarżenie Herveya, wtedy napisałam ten list.

— Miałaś mnie pani, widzę, za wielkiego głupca.

— Rzeczywiście, nie przypisywałam panu wiele sprytu, a przecież dowiodłeś pan zręczności dużo, odkrywając moje plany. Mój list miał jedynie na celu zdobycie grosza, ale teraz... teraz...

— Teraz — rzekł, wstając Random — pójdę natychmiast do profesora, i ostrzegę go, kim pani jesteś.

— I wydacie mnie w ręce policji.

— Nie, tego nie zrobię, za długo byłem gościem pani i znajomym, dostateczną chyba będzie karą dla pani, gdy nie zostaniesz żoną profesora. Nie próbuj jednak pani uciekać, bo jesteś nam niezbędnie potrzebną dla odkrycia mordercy Boltona. — Zresztą wszelkie usiłowania byłyby daremne, bo każę panią strzedz jednemu z moich żołnierzy.

— To jakbyś mnie wydawał w ręce policji?

— Nie — to zupełnie co innego — żołnierz spełniać będzie mój rozkaz, nie wiedząc o co chodzi.

— Myślałam, że się pan gorzej ze mną obejdziesz. Czy zobaczę pana jeszcze?

— Przyjdę tu jutro, po widzeniu się z profesorem i raz jeszcze nie radzę pani próbować ucieczki.

To rzekłszy wyszedł.

XXII.

Podarek ślubny.

Gdy Frank Random, opowiedział profesorowi kim była właściwie pani Jascher, Bradock wpadł w taki szal wściekłości, że nawet Kakatoes czuł się przerażony. Po pierwszym wybuchu oświadczył stanowczo, że każe ją zaaresztować, ale Random sprzeciwił się temu bardzo energicznie.

— Prawda, że postępek jej był bardzo niski — rzekł — mimo to są w niej jeszcze pierwiastki dobre, i zdaje mi się, że w gruncie jest więcej warta od swoich czynów.

— Nie broń jej pan napróżno, bo to szkaradna kobieta — krzyczał profesor — jak śmiała oszukiwać mnie, twierdząc, że jest bogatą. A przytem musi coś wiedzieć o morderstwie. Pójdę zaraz do niej powiedzieć, co o tem myślę i zapytać o Sidneja.

— Twierdzi, że nic nie wie.

— Nie wierz pan temu, nie napisalaby przecież takiego listu, gdyby nic nie wiedziała.

Frank nie spierał się dłużej z profesorem i udał się do Don Pedra, który ku wielkiemu jego zdziwieniu wyraził także przekonanie, że pani Jascher znać musi mordercę.

— Dobrze, że Bradock do niej pójdzie, dowie się może coś pewnego. Zastanawiam się nawet — mówił Don Pedro — czy to nie pani Jascher rozmawiała z Boltonem w dzień morderstwa?

— Jest to dość prawdopodobne, nie tłumaczy jednak, dlaczego Bolton pożyczal suknie od swej matki?

— Dla przebrania w nie pani Jascher.

— To by dowodziło skrytego porozumienia między Sidnejem a panią Jascher, w dodatku porozumienie to musiałyby być zawiązane przed wyjazdem Boltona do Malty. Tymczasem wtedy nie mógł on jeszcze wiedzieć o istnieniu szmaragdów, nie znając rękopismu.

— To prawda. Zatem Hervey pomylił się w swoich wnioskach.

— A co zamierza jeszcze zrobić dla odkrycia morderstwa?

— Tego nie wiem, ale obiecał sporządzić mi

oficyjalne zeznanie na piśmie, w którym opiszę dokładnie, w jaki sposób przywłaszczył sobie mumię, przed trzydziestu laty. Dokument ten odda mi w chwili odplynięcia do Algieru, a w zamian otrzyma odemnie 50 luidorów.

— Ta kanalia gotowa jest na wszystko, byle coś zyskać. Ale dlaczego zaopatrujesz się pan w ten dokument?

— Aby dowieść praw moich do mumii, wobec profesora Bradock.

— To przecie zbyt czyste. Bradock odprzeda ją panu i tak.

— Zaczynam w to wątpić, przygotowuję więc wszelkie dowody na wypadek procesu.

W tej chwili wszedł Hope, niezmiernie zdziwiony postępkami pani Jascher, o którym już mu profesor zdążył opowiedzieć.

— Nigdybym się po niej tego nie spodziewał, tak bardzo chciało się jej wyjść za mąż.

— Spytajcie profesora, tenby coś mógł o tem powiedzieć — zaśmiał się Random.

— Nie to jednak miałem na myśli — odpowiedział Hope. Byłem świeżo u Anny Bolton, która ob staje stanowczo przy tem, że syn jej pożyczal od niej suknie. Opowiadała mi także, że Bolton ko-

chał się w pani Jascher, i zamierzał ożenić się z nią powróciwszy z Malty.

— To ważny szczegół. Jeżeli tak było w istocie, Bolton mógł rzeczywiście poszukiwać szmaragdów, aby za ich cenę zyskać majątek, któryby mu pozwolił na to ożenienie. Może więc i to przebranie, było dla pani Jascher?

— Chodźmy do niej dziś wieczór, jeżeli przyzna, że była narzeczoną Boltona, w takim razie musi być stanowczo wmieszana w sprawę kradzieży.

Wieczorem tegoż samego dnia Frank Random wracał do fortu; gdy przechodził obok żołnierza stojącego dnia tego na warcie, ten sprezentował przed nim broń, na co Frank odpowiedział wojskowym ukłonem. Mimo to żołnierz zrobił krok naprzód i stanął przed nim, jakby czekając pytania.

— Czego chcesz? — spytał Frank.

— Panie kapitanie, znalazłem coś w mojej budce.

Mówiąc to, podał Frankowi mały pakunek zawinięty w brunatny papier i zawiązany szpagatem.

— Dlaczego mi to oddajesz?

— Bo zaadresowany jest do pana kapitana.

— Jakim sposobem znalazł stę tutaj?

— Znalazłem go na podłodze w mojej budce, nie wiem kto go tu zostawił. Zapewne rzucił go ktoś jeszcze zrana.

Random wsunął pakiecik do kieszeni, nie wiedząc co zawiera. Strofował surowo żołnierza za brak czujności, przypuszczał bowiem, że mógł się ktoś zbliżyć do budki w chwili, gdy żołnierz odbywał przed nią swój zwykły marsz w prawo i w lewo.

Przyszedłszy do domu, zapalił lampę i przeciął szpagat obwiązujący pakiet, z którego wysunęła się koperta zawierająca jakiś twardy przedmiot. Na kopercie był napis: *Podarek ślubny dla Franka Random.*

Frank rozdarł ją natychmiast, a wtedy oczom jego ukazał się prześliczny, niezwykle duży szmaragd. Frank patrzył zdumiony, nie wierząc własnym oczom. Szmaragd był przezzystej wody i rzucał olśniewające błyski. Nie trudno było domyśleć się, że pochodzić musiał z trumny Inki Kaksasa.

XXIII.

Nowy mord.

Ze wszystkich zagadek, wiążących się z tragiczną sprawą zielonej mumii, była to z pewnością najdziwaczniejsza. Szmaragdy były niezawodnie przyczyną zabójstwa Boltona, aż oto jeden z tych królewskich klejnotów wpadał niespodzianie w ręce Franka Random, który mógł go zwrócić Don Pedrowi.

Pomimo całego zdumienia, Frank nie mógł wstrzymać się od uśmiechu na myśl, jaką minę zrobi Bradock, widząc w ręku Don Pedra ten kosztowny zabytek. Zamknął w szufladce biurka drogocenny klejnot, a sam usiadłszy przy ogniu, gubił się w domysłach, kto mógł mu przysłać ten królewski podarek.

Pomyślał o pani Jascher, ale byłoby to mało prawdopodobne wobec jej kłopotów pieniężnych.

Wolałaby niezawodnie spożytkować owe klejnoty na własną korzyść.

Pismo na kopercie musiało być zmienione, nie naprowadzało więc na żadne ślady. Pozostawał Hervey, ale samo to przypuszczenie wydawało się tak komiczne młodemu oficerowi, że na myśl o niem wybuchnął śmiechem. Widząc, że łamałby sobie głowę napróżno, Random zaniechał dalszych dociekań i posłał przez ordynansa swego kartkę do Archibalda, prosząc go aby przybył natychmiast. Zjadłszy obiad w Piramidach Hope pośpieszył do przyjaciela.

— Cóż robi profesor? — spytał Random.

— Klnie na czem świat stoi, twierdząc, że pani Jascher go okradła, tymczasem zaś posłał do portu Kakatoesa, polecając mu śledzić Herveya.

— I po co? Hervey wyjeżdża jutro, nie się z niego nie dobędzie.

— Mówiłem to samo profesorowi. Opowiedziałem mu także, że Hervey dał Don Pedrowi dokument na piśmie zawierający opis kradzieży dokonanej przed trzydziestu laty w Limie, co ma służyć jako dowód praw Don Gajangosa. Profesor jednak upewniał, że zachowa dla siebie ciało Inki Kaksasa i upomni się o szmaragdy, o ileby się znalazły.

Wtedy Random otworzył szufladę biurka.

— A przecież profesor utracił już podobno jeden ze szmaragdów. Patrz, co przesłano mi dziś bezimiennie.

To mówiąc, pokazał Archibaldowi pod światło lampy niezrównany klejnot, promieniejący migotliwymi snopami olśniewających zielonych ogni.

— Cóż to? Cóż to jest? — wołał zdziwiony Archie.

— Właśnie sprowadziłem cię umyślnie aby ci to pokazać. Wystaw sobie, znalazł to dziś mój żołnierz, w budce wojskowej przy której trzymał straż.

— Chyba żart?

— Bynajmniej — zaadresowane było do mnie. Powiedz, co myślisz o tem? Kto mi mógł to przysłać?

— Hervey może — rzekł zamyślony Hope.

— Co? Ten szajlok amerykański, miałby zwrócić rzecz skradzioną przez siebie, chociażby jako podarek ślubny?

— Jakto podarek ślubny?

— Obacz napis na kopercie, w której mieści się szmaragd.

Tu Random pokazał Archibaldowi wspomniany papier.

— Cóż powiesz o tem wszystkim? — rzekł.

— Cóż mam powiedzieć? Przyjdzie chyba do reszty stracić głowę z całą tą gmatwaniną. Ja człowiek spokojny, artysta z zamiłowania, nie czuję w sobie wcale zdolności na śledczego agenta. Bardzo to ładnie wygląda w romansach ale nie w życiu. Cóż zrobisz teraz ze szmaragdem?

— Oddam go naturalnie Don Pedrowi.

— A potem?

— Potem nie wiem.

— Zapytaj pani Jascher.

— Nie warto — rzekł Frank, skinąwszy przecząco głową — ja sam myślałem z początku, że to ona, ale to nie możliwe. Przedewszystkiem jest sama w kłopotach pieniężnych, nie rozstawalaby się więc z przedmiotem takiej wartości, a przytem zdaje mi się, że istotnie nic nie wie... A czy profesor był u niej?

— Tak jest, kłócili się podobno i łajali wzajemnie, nie jednak z niej nie wydobył. — Ale, ale radziłbym ci przedewszystkiem schować szmaragd, bo wygląda tak ponętnie, że i mnie może zdjąć pokusa przywłaszczenia go sobie, kto wie, czy nie byłbym zdolny udusić cię z jego powodu, jak ów nieznanzy złoczyńca nieboszczyka Boltona.

Random roześmiał się, ale schował istotnie

klejnot i zamknął go starannie na dwa spusty, poczem schował klucz do kieszeni.

— Cóż teraz zrobimy?

— Chodźmy do pani Jascher, musimy w każdym razie widzieć ją dziś wieczorem.

— I owszem, pójdę chętnie z tobą — mówił Hope, pomagając przyjacielowi we włożeniu ciężkiego wojskowego płaszcza. — Chyba nie potrzebujemy brać z sobą rewolwerów — dodał żartem.

— Zdaje się — rzekł Random — że pani Jascher nie jest tak niebezpieczna, byśmy się mieli zbroić przeciwko niej. Wydobędziemy z niej jak najwięcej szczegółów, a potem obmyślę, co by można dla niej zrobić, bo jednak zdaje mi się, że nie jest to kobieta całkiem zepsuta. Następnie powrócimy do naszych pań.

Zrobiwszy sobie taki plan wieczoru, młodzi ludzie wyszli w najlepszych humorach. Noc była bardzo ciemna, a drobny deszcz mżył nieustannie. Mimo to Archie, który znał doskonale okolice szedł śmiało naprzód, prowadząc za sobą przyjaciela.

Wyszedłszy z obrębu fortu, postępowali jakiś czas gościńcem, potem skrzyli na lewo wąską ścieżką, wijącą się wśród trzęsawiska. Ścieżka ta doprowadzić ich miała bezpośrednio do willi pani Jascher. Pominąwszy ciemności nocne, tak gęsta

mgła podnosiła się z rzeki, że o parę kroków już nie można było odróżnić przedmiotów. Nie zdziwiło też wcale obu mężczyzn, że mimo iż dotarli wreszcie do rezydencji wdowy, nie widzieli światła w jej oknach. Widocznie nie mogło się przeдрzeć przez opary.

Frank popchnął już drewnianą furtkę, gdy naraź przeraźliwy krzyk kobiety doszedł do ich uszu. Stanęli obaj niepewni.

— Co to ma znaczyć? — szepnął Hope.

— Trzeba zobaczyć — odparł Random, i spiesznie pobiegł do mieszkania wdowy.

W chwili, gdy wpadał na werandę, natknął się na krzyczącą w niebogłosy kobietę. — Poznał w niej pokojową pani Jascher.

— Co się dzieje? — spytał, chwytając ją za ramię.

Dziewczyna przeraziła się jeszcze bardziej, a krzyki jej zdwoiły się.

— Mordercy! zabójcy! — wrzeszczała bez przytomności — zabijają!!

— Gdzie? kogo?

— Moją panią! — wyjąkała wreszcie poznawszy Franka.

Tymczasem Archie wpadł do saloniku, który był pogrążony w ciemnościach. — Zapalił szybko

zapałkę i podniósł ją do góry. Okropny widok przedstawił się jego oczom: Pani Jascher leżała zamordowana na podłodze. Struga czarnej krwi sączyła się obok, wsiąkając szybko w dywan.

Zdawało mu się też, że jakaś czarna postać wyskoczyła oknem.

Był to prawdopodobnie zabójca.

XXIV.

Wyznanie.

Tymczasem Frank szamotał się na werandzie z Joasią pokojową pani Jascher, która uczepiwszy się kurczowo jego rąk, nie przestawała wydawać strasznych krzyków. — Wrzaski te przeszły za chwilę w atak histeryczny, którego nie można było żadną miarą uspokoić.

— Zbóje! mordercy! — krzyczała jak opętana. — Oto znów jeden — zawołała nagle — odchodząc od przytomności.

Istotnie ciemna jakaś sylwetka ukazała się z za węgła domu.

— Pst! jesteś tu Random? — zawołał cicho Hope — gdyby nie ta przekłeta mgła, byłbym go schwytał.

— Kogo?

— Mordercę pani Jascher.

— Co mówisz, pani Jascher zamordowana!?

— Tak jest, leży zabita w swoim salonie.

Usłyszawszy te słowa Joasia, zaczęła wyć nieludzkim głosem.

— Kogo tam masz? — spytał Hope.

— To służąca pani Jascher, Joasia. Oszalała widocznie.

Uwolnił się od niej z trudnością, dziewczyna upadła na podłogę nie przestając jęczeć. Zniecierpliwiony Random podniósł ją szorstko.

— Dość tego, nie pora na krzyki, trzeba ratować twoją panią. Idź do kuchni i przynieś lampę.

Gdy dziewczyna spełniła to zlecenie, Hope i Random, którzy tymczasem powrócili do salonu ogarnęli wzrokiem obraz dzikiego spustoszenia, jaki przedstawiał ten pokój zwykle tak zaciszny. Wyglądał jak po przejściu rozjuszonego bawołu. Meble podruzgotane, kandelabry, lustra potłuczone, firanki wyrwane wraz z karniszami, szyby wytłuczone wskazywały drogę, którą musiał uciekać morderca. Nieszczęśliwa kobieta miała głęboką ranę w piersi, zadaną widocznie ostrem narzędziem. Na ten widok Joasia poczęła znowu płakać i krzyczeć.

— Zaprześtań raz, a biegnij po doktora — oburknął ją Random, który ukląkł tymczasem przy zamordowanej i przekonał się, że serce jeszcze bije.

— Po doktora ja pójde — oświadczył Hope — i zaalarmuję jednocześnie żołnierzy w forcie. Może uda się im schwytać zbrodniarza.

— A czy potrafisz dać jego rysopis?

— Niestety nie, w ciemności dojrzałem tylko jego sylwetkę, gdy wyskakiwał oknem.

Skoczyłem natychmiast za nim, ale mgła była tak gęsta, że go straciłem z oczu.

Tymczasem na rozkaz Franka, Joasia przyniosła ciepłej wody i prześcieradła na bandażę. Random zatamował szybko krew i obandażował ranę, podczas kiedy Joasia wpuszczała kropla po kropli wódkę w usta omdlalej. Po upływie kwadransa, pani Jascher zaczęła dawać słabe oznaki życia. Otworzyła oczy, ale wydawszy głuchy jęk, popadła znowu w omdlenie. Na szczęście nadszedł Hope w towarzystwie doktora, a za nim przybył wkrótce Painter, sędzia pokoju.

— Jak pan myśli? czy będzie żyć? — spytał Random doktora.

— Na razie nie mogę powiedzieć nic pewnego — odparł doktor. — Jak się to stało?

— To już do pana nie należy — przerwał mu sędzia. — Zajmij się pan chorą, a ja przesłucham tych panów i sługę.

Joasia, którą tytułowano zwykle panienką, obruszyła się na te słowa.

— U pana nie służę — odparła zuchwale, zapominając o urzędowym charakterze pytającego.

Po niejakiem czasie jednak dała się nakłonić do złożenia potrzebnych zeznań, poczem pozwolono jej odejść do sypialni dla pielęgnowania swej pani. Następnie Random i Hope, udali się wraz z urzędnikiem do saloniku, aby obejrzeć dokładnie miejsce zbrodni. Obaczywszy rozbite okno Painter zawołał:

— Aha! więc to tędy wyszedł morderca, ale którądy wszedł?

— Prawdopodobnie drzwiami — odparł sucho Random.

— Niewiadomo panie — odrzekł sędzia — służąca utrzymuje, że nie słyszała aby ktoś dzwonił

— Pani Jascher mogła go wpuścić sama — rzekł Random.

— Jakiż cel mogła mieć w tem?

— Tego ja panu nie wyjaśnię. Mogłaby to zrobić jedynie pani Jascher, ale ona zdaje się już kona.

— Musi to mieć jakiś związek z przysłanym szmaragdem — zauważył Random, zwracając się do Archibalda — a także z morderstwem Boltona.

— Czy sądzisz, że to ten sam człowiek?

— Jestem tego pewny. W takim razie może to pani Jascher przysłała mi szmaragd, a człowiek ów dowiedziawszy się o tem, zabił ją przez zemstę.

— A skądże dowiedział się o wysłaniu szmaragdu?

— Bóg to raczy wiedzieć, może była jego współniczką.

Archibald zmarszczył brwi.

— Kim może być ta zagadkowa osobistość?

— Miejmy nadzieję, że teraz wyjdzie to na jaw.

Poszedł wraz z Frankiem do sali jadalnej — podczas kiedy Painter zdejmował plan saloniku, zabezpieczywszy się od zimna parawanikiem, którym zakrył rozbite okno. Mgła dokoła domu była tak gęsta, że podług wyrażenia ludowego możnaby ją krajać nożem. Około czwartej zrana Hope, który był usnął w swoim fotelu, został nagle zbudzony cichem wołaniem. — Był to Frank, który stał nad nim dotykając jego ramienia. W jednej chwili Hope zerwał się pytając.

— Co to jest? Co się stało?

— Painter nas woła.

Poszli obaj do saloniku, gdzie sędzia spędzał noc, ale nie zastali go tam. Pokój był pusty, parawan obalony, dopiero wychyliwszy się przez

okno, dojrzeni barczystą postać urzędnika, który wypatrywał coś w ciemnościach.

— Cóż się tu dzieje? — pytał Frank — wołałeś nas pan, zdawało mi się przynajmniej, że słyszę pański głos.

Painter powrócił do salonu.

— Wołałem panów w istocie, bo zdrzemnąwszy chwilę w krześle, zbudziłem się nagle i widziałem wyraźnie twarz jakąś, patrzącą na mnie z za parawanu. Zerwałem się wówczas wołając panów, przewróciłem parawan i wyskoczyłem przez okno.

— I co? — pytał Archie?

— I nic. Nie było nikogo — a przecież przysiągłbym, że widziałem tę twarz i oczy śledzące mnie z za parawanu.

Random i Hope udali się natychmiast do ogrodu i przeszukali go bez skutku. Mgła była zawsze równie gęsta, o dwa kroki już nie można było nic dojrzeć. Powrócili więc do jadalni i zasiedli przy kominku, obiecując sobie czuwać już bez przerwy do rana.

— Jak myślisz? — spytał Hope — czy Painter widział rzeczywiście kogo, czy mu się to po prostu przyśniło?

— Jestem przekonany, że morderca powrócił — odparł zimno Random.

— Narażając się na schwytanie.

— Tak, jest tu widocznie coś, czego koniecznie potrzebuje, a co musiało być przyczyną zamordowania pani Jascher. Przyjście nasze stanęło mu na przeszkodzie, uciekł więc chwilowo, ale korzystając z ciemności i mgły krąży w okolicach domu, aby się tu znowu zakraść i zabrać ową rzecz.

— Cóż to może być?

— Prawdopodobnie drugi szmaragd.

W tej chwili weszła służąca pani Jascher, mówiąc:

— Moja pani oprzytomniała. Doktor prosi żeby panowie przyszli.

Usłuchali tego wezwania, weszli na palcach do pokoju konającej. Doktor siedział przy łóżku, trzymając ją za rękę.

— Kto to? — spytała słabym głosem.

— Pan Hope i pan Random, którzy przyszli wczoraj w samą porę, aby panią ocalić.

— Tak, w samą porę, aby patrzeć na moją śmierć — rzekła wdowa. — Ja żyć nie będę, ale przed śmiercią chcę jeszcze powiedzieć prawdę. Cieszę się, że Random tu jest, to dobry chłopiec, lubiłam go zawsze. Och! pić dajcie, pić...

Doktor wlał jej do ust parę łyżeczek koniaku.

— Odpocznij pani, musisz zebrać wszystkie siły abyś mogła mówić.

— Nie, nie, wystarczy mi ich na to co mam powiedzieć — mówiła nieszczęśliwa, usiłując się podnieść. — Panie Frank! Panie Random!

Głos jej chrypiał i rwał się co chwila.

— Jestem tu — rzekł Random, zbliżając się do łóżka.

Pani Jascher schwyciła go za rękę.

— Tak! panu powiem wszystko, dostałeś szmaragd?

— Więc to pani?

— Tak, to ja posłałam ci go, byłam ciężko obrażona, bałam się ja... ja... Tchu jej zabrakło, zaczęła się dusić.

— Proszę nie mówić — rzekł żywo doktor — niech panowie wyjdą.

— Nie, nie, niech zostaną, ja i tak umrę. — Pić doktorze, daj mi jeszcze pić.

Doktor przysunął jej do ust kieliszek z koniakiem. Piła chciwie, alkohol przywracał jej siły. — Nadludzkiem wysiłkiem usiadła na łóżku.

— Hope, Random! chodźcie tutaj — rzekła niezwykle mocnym głosem. — Słuchajcie! to ja rzuciłam szmaragd do budki żołnierza — sama

go tam zaniósł. — Cieszę się, że go dałam Frankowi.

— A skąd go pani dostała?

— O! to długa historia — nie starczy mi już czasu na opowiedzenie jej — ale spisałam wszystko. Moje wyznanie leży na biurku. — Weźcie je. Napisałam je umyślnie, aby się oczyścić.

— Więc pani nie jesteś winną śmierci Boltona?

— Nie, ale znam zabójcę. Pisałam właśnie o nim, gdy zastukał do okna, otworzyłam mu sama i wpuściłam go. Powiedziałam, że piszę o tem.

— Komu to pani powiedziała? — pytał Random. — Ale pani Jascher już go nie słyszała. Głos jej rwał się co chwila. — Tam na biurku... — mówiła. — Moje wyznanie, luźne kartki. Chciałam je pozbierać, ale on wszedł — żądał szmaragdu, powiedziałam mu, że odesłałam go Frankowi. — On wpadł w straszny gniew. Rzucił się na mnie ze swoim okropnym nożem. — Przewrócił lampę, świecę. — Uderzył mnie — wołałam o pomoc, a on uderzał wciąż. Och! ciemno... krew...

— Na miłość Boga! kto był ten człowiek? — pytał Random.

Ale pani Jascher osunęła się zemdłona na poduszki. — Doktor próbował ją trzeźwić.

— Idźcie panowie stąd. Inaczej nie ręczę za jej życie.

— Muszę raz wiedzieć prawdę — odparł stanowczo Random. Ty Hope idź do salonu i staraj się znaleźć to wyznanie. Inaczej morderca gotów je zabrać. Po to widocznie wracał. Idź spiesz się.

Archie nie dał sobie tego dwa razy powtarzać. Sam czuł ważność tego dokumentu. — Mimo, że starał się wysunąć jak najciszej, pani Jascher usłyszała jego kroki.

— Nie odchodź Random — szepnęła, otwierając oczy. — Tyle rzeczy chciałabym ci jeszcze powiedzieć. — Przeczytaj to co napisałam. Gdybym żyła spaliłabym to zapewne. — Tak spaliłabym gdyby nie ten przypadek.

— Przypadek! — zawołał Random — pani to nazywasz przypadkiem? Ależ to zbrodnia!

— Zbrodnia! — krzyknęła kobieta zmienionym głosem, jakby teraz dopiero zrozumiała znaczenie tego co zaszło. — Tak zbrodnia!.. Zabił Sidneja, żeby mieć szmaragdy — a mnie zabił abym milczała.

— Kto? kto panią zabił? mów pani na Boga!

— On! on jeden winien jest śmierci Boltona i mojej. — Ten potwór — Kakatoes.

Tu głos jej złamał się nagle. Osunęła się blada na łóżko. Już nie żyła.

Wyroki Boskie.

Widząc, że biedna kobieta wydała ostatnie tchnienie, Random udał się do salonu, gdzie Hope zdążył już być pozbierać kartki wyznania pani Jascher. Na szczęście sędzia tego nie zauważył, inaczej nie byłby z pewnością pozwolił młodemu malarzowi na ukrycie tych papierów. Hope rzucił okiem na pismo. Urywało się nagle i nie było podpisane. Widocznie wejście mordercy przeszkodziło pani Jascher w zakończeniu tej pisemnej spowiedzi. Archie wsunął kartki do kieszeni i obaj z przyjaciелеm włożywszy płaszcze opuścili w dżdżysty i błotny ranek ten dom śmierci i zbrodni. Doktor ofiarował się sam uprzedzić o zajściu inspektora Date, Hope zaś i Random udali się do mieszkania Archibalda, gdzie mieli odczytać wspólnie wyzna-

nia zamordowanej. — Gdy zasiedli przy dobrym ogniu, Hope kazał przynieść kawy i chciał się zabrać do czytania.

— Zaczekaj — rzekł mu Random — porozmawiajmy pierwej.

— Jak chcesz — odparł Hope.

— Powiedz mi, jak ci się zdaje, czy pani Jascher była szczerą w tej swojej spowiedzi?

— Jestem o tem najmocniej przekonany, czuła przecież, że umiera, a w takich chwilach mówi się prawdę. Chciałbym tylko jedno wiedzieć, jaki udział w tem wszystkim miał profesor?

Hope zdziwiony spojrział na niego.

— Żadnego, myślę. — Przecież pani Jascher nie wymieniła go.

— Tak. — Ale przecież Kakatoes zależnym jest od niego wyłącznie, musiał więc zadusić Boltona na rozkaz swego pana.

— To niemożliwe — zawołał Hope. — Mojem zdaniem Bradock wychodzi z tej sprawy całkiem czysty. Zastanów się Random co powiedziałeś, byłoby to przecież straszne dla Łucyi.

— Nie widzę tego. Nie jest przecie jego córka i nie nosi jego nazwiska. Hańba profesora Bradock nie spadnie na nią, ani na ciebie.

— A ja ci mówię raz jeszcze, że jesteś w błę-

dzie. Profesor nic nie winien, i postępował zupełnie poprawnie.

— Temu wcale nie przeczę, odegrał wybornie swoją rolę, ale mimo jego udanej rozpaczycy po stracie mumii, nie zadziwiłbym się wcale, gdyby w jego ręku znalazł się drugi szmaragd. Zresztą za chwilę dowiemy się o wszystkim.

W końcu Hope zabrał się do odczytania spowiedzi pani Jascher. Początek obejmował krótki opis pierwszych lat jej młodości, potem następowało opowiadanie wypadków, mających związek z historią mumii.

Okazało się, że Bolton kochał się istotnie w pani Jascher, a gdy ta nie tała przed nim zamiarów swoich względem profesora, zaklinał ją na wszystko, żeby została raczej jego żoną, obiecując, że zdobędzie znaczny majątek, który zapewni jej przyjemne życie. Następnie zwierzył się pani Jascher ze swego odkrycia co do szmaragdów. Profesor, który znał oddawna Wazę, używał go za pośrednika w kupnie mumii, i otrzymał od niego rękopism, zawierający opis pogrzebu Inki Kaksasa. Rękopism ten leżał między papierami profesora i Bolton miał sposobność odczytać go, czego się Braddock nie domyślał, wysyłając na Malte swego sekretarza.

Przed wyjazdem Bolton uważając panią Jascher za przyszłą swą żonę, zwierzył się jej z zamiaru przywłaszczenia sobie szmaragdów, które miał nadzieję sprzedać w Paryżu. Pani Jascher miała się tam z nim zjechać, a po otrzymaniu znacznej kwoty za owe klejnoty, udać się mieli oboje do Ameryki. Bolton powiedział jeszcze pani Jascher, że o ile nie uda się mu zabrać klejnotów w drodze, wymyśli jakibądź pretekst zatrzymania się w porcie i uskuteczni kradzież. Uciekać chciał w przebraniu kobiecem, i dlatego pożyczył suknie swej matki.

Plan był zręcznie ułożony, i udałby się zapewne, gdyby nie to, że pani Jascher, która nie miała nigdy zamiaru poślubić Boltona, wyznała całą sprawę profesorowi. Miała nadzieję zaskarbić sobie w ten sposób jego względy, i doprowadzić do małżeństwa. Bradock oczywiście szalał z gniewu, a skoro otrzymał od Boltona list donoszący, że znajduje się w hotelu, postanowił za wszelką cenę przeszkodzić jego ucieczce. Posłał więc do portu Kakatoesa dla śledzenia kroków Sidneja. Ten widząc się zdradzonym, zaczął nakłaniać karła, aby się stał jego współnikiem.

Kakatoes przystał pozornie, aby lepiej jeszcze wtajemniczyć się w plany Boltona. Bolton był prze-

konany, że Kanak musi nienawidzić swego pana za ciągłą poniewierkę i złe obchodzenie się z nim, a ofiarując mu podział w skradzionych szmaragdach liczył z całą pewnością na jego chętną pomoc. Nie rozumiał tej dzikiej i przebiegłej natury, dla której Bradock był jedynym na świecie przedmiotem przywiązania, nieledwie czci.

Pożyczył Kanakowi suknie swojej matki, aby mógł powrócić niepoznany i w czasie rozmowy wieczornej w oknie ułożyć z nim dalszy plan ucieczki. Kakatoes przyrzekł sprowadzić łódkę i miał dać umówiony znak, stukając w szybę. — Sidnej zamierzał odплыnąć wraz z karłem łódką i dostać się na okręt odplywający do Francji. Mumia zostałaaby w hotelu w zamkniętej pace i stosownie do rozporządzenia Sidneja, wyprawioną być miała nazajutrz pod adresem profesora Bradock.

Kakatoes powrócił do Piramid i zdał sprawę swemu panu z wyniku swej wycieczki, potem już obaj razem udali się do portu. Pani Jascher wiedziała ich, bo wsiedli w łódkę pod jej oknami.

Była już północ gdy przybyli pod hotel, a profesor przeraził się mocno, nie widząc światła w oknach Boltona. Mniemał, że ten odplynął już ze szmaragdami.

Wysłał więc na zwiady Kakatoesa, który zastu-

kał w szybę. Bolton otworzył mu natychmiast okno i Kanak wskoczył do pokoju. Ujrzał pakę z mumią utworzoną i opaski przecięte. Jak dziki kot skoczył na swoją ofiarę i w mgnieniu oka okręcił Boltonowi szyję sznurkiem od stopy. Po upływie dziesięciu minut powrócił do łódki i opowiedział wszystko profesorowi, żądając aby wszedł wraz z nim do pokoju Sidneja i pomógł mu w ukryciu trupa.

Profesor wzdragał się z początku, ale chęć posiadania szmaragdów przemogła. Powrócili obaj do pokoju Boltona, zapuścili storę, zapalili światło i zaszpuntowali bez hałasu w pace trupa zamordowanego. Potem wynieśli sarkofag z mumią i umieścili go w łódce.

Wtedy to chytry karzeł powrócił po raz trzeci na miejsce zbrodni, aby odemknąć drzwi od wewnątrz, a przytwierdziwszy szpagat do ramy okna zamknął je od zewnątrz, aby służba hotelowa mogła mniemać nazajutrz, że Bolton wyszedł spokojnie przez drzwi zostawiając w pokoju pakę.

Plan ten udał się wyśmienicie i zatarł zupełnie trop morderców. Odpłynąwszy z mumią, zakopali ją później w bliskości ustronnej przystani. Szmaragdy oczywiście zabrali z sobą.

— Ale dlaczego podrzucili następnie mumię w ogrodzie pani Jascher? — pytał Random.

Hope czytać zaczął dalej.

Bradock lękał się wciąż o swoją mumię, wykopał więc ją pewnej nocy, a Kanak zaniósł ją do ogrodu wdowy. Był to także sposób zaplątania w tę sprawę pani Jascher, która ich lada chwila mogła zdradzić. Ona sama zażądała wtedy jednego szmaragdu, który powierzono jej, aby ją zmusić do milczenia. Drugi szmaragd profesor zachował dla siebie i sprzedał go w czasie swojej wycieczki holenderskiemu kupcowi, który odprzedał go już do Indyi.

Tu rękopism urywał się.

— Więc to Bradock przysłał tej nocy Kaka-toesa, aby odebrać drugi szmaragd? — rzekł Hope.

— Nieszczęśliwa kobieta — przypłaciła śmiercią swoją lekkomyślność. I któżby myślał, że zamorduje ją ten sam, którego żoną chciała zostać, bo karzeł działał tylko jako narzędzie swego pana.

— Co za komedyant z tego człowieka — mówił Hope, wkładając płaszcz — jak świetnie umiał udawać zupełną niewiadomość zbrodni.

— Gdzie idziesz? — pytał Random.

— Do Piramid, muszę widzieć natychmiast Lucyę i zabrać ją z tego przekłętego domu.

— Czy chcesz powiedzieć jej wszystko?

— Teraz nie, ale przygotuję ją w każdym razie.

— To i ja z tobą pójdę.

Przybywszy do Piramid młodzi ludzie zastali tam wielkie zamieszanie. Cała służba zebrała się przed domem jak gdyby nad czemś radząc.

— Co to jest? Gdzie profesor? — pytał Archie — dlaczego tu stoicie?

— Niema go, uciekł w nocy niewiadomo gdzie — wołała kucharka.

W tej chwili Łucya wybiegła na spotkanie narzeczonego.

— Archie! drogi mój, co to znaczy? Ojczym mój znikł w nocy z Kakatoesem zabrawszy z sobą zieloną mumię. Czy to prawda, że pani Jascher zamordowana?

— Cicho! droga! opowiem ci wszystko, gdy będziemy sami — rzekł Hope, ujmując ją pod ramię i prowadząc na górne piętro.

XXVI.

Nad rzeką.

Biedna Łucya wysłuchiwała z trwogą i przerażeniem opowiadania Archibalda, który streścił jej wyznania pani Jascher.

Błagała narzeczonego, aby zniszczył ten fatalny dokument.

— To niepodobna — odparł stanowczo Hope. — Prawda musi wyjść na jaw, inaczej posądzać będą wciąż ludzi zupełnie niewinnych.

— Co za hańba dla mnie! — żaliła się Łucya.

— Tego się nie lękaj ukochana, nie jesteś przecie córką tego człowieka, nazwisko twoje nie będzie wcale wspomniane w całej sprawie.

— Ale wszyscy wiedzą, że był moim ojczymem.

— Wszyscy! — odparł lekceważąco Archie —

to znaczy kilka osób w tym zapadłym kącie. Pojedziemy zaraz do Londynu, tam weźmiemy ślub, a potem udamy się do południowej Francji, gdzie spędzimy resztę zimy.

— A profesor?

— Nie zdaje mi się, aby się tu kiedy pokazał. Wyjechał zapewne daleko ze swym przeklętym Kaniem. Nie rozumiem tylko, poco wloką za sobą tę przeklętą mumię.

— Ale dlaczego profesor uciekł, skoro nie on zamordował Sidneja i panią Jascher?

— Muszę mu nawet przyznać, że w morderstwie Boltona nie miał uprzednio powziętego zamiaru. Gorzej z biedną panią Jascher, której chciano odebrać przemocą szmaragd.

— Jak myślisz Archie? co grozi memu ojczymowi?

Archie czuł się jednak niemile dotknięty, słysząc to poufale nazwanie w ustach Łucyi.

— Bradock skazany będzie na dożywotnie więzienie, ale piekielny Kakatoes musi być powieszony. To dzikie zwierzę byłoby zawsze niebezpiecznym dla tych z którymi się zetknie.

Random ze swej strony zdał sprawę z wypadków ubiegłej nocy Don Pedrowi i jego córce, opowiadanie swoje zakończył, wręczając szmaragd

przyszłemu teściowi. Hidalgo nie posiadał się z radości.

— Odzyskałem więc swój klejnot rodowy — wołał z zachwytem.

— Dzięki niech będą za to Najświętszej Pannie i aniołom boskim — dodał, żegnając się nabożnie. — I cóż się stało z drugim szmaragdem? Profesor musiał sprzedać go zbyt tanio, ten klejnot godzien królewskiej korony.

— Wyjedziecie stąd państwo zapewne po pogrzebie pani Jascher — rzekł Random. — Ale mam nadzieję, że widywać się będziemy często w Londynie.

— Dlaczego w Londynie? Odjeżdżam natychmiast do Limy.

— Nie wpierw, aż Inez zostanie moją żoną, mam przecie pańskie słowo.

— Ach prawda — rzekł z uśmiechem Don Pedro — odzyskałem wprawdzie jeden z moich klejnotów, ale cenniejszy jeszcze pozostanie tutaj. Przed odjazdem moim stąd, prosić pana będę o jedną jeszcze przysługę.

— Gotów jestem, ale o cóż to chodzi?

— Dziś o ósmej wieczorem, spotkać się mam na wybrzeżu z kapitanem Hervey'em, to jest ściślej mówiąc, z marynarzem Wazą. — Ma on wrę-

czyć mi ów dokument stwierdzający moje prawa do mumii, wzamian za 50 luidorów. Otóż nie ufam temu człowiekowi i chciałbym, abyś pan był obecnym przy naszym spotkaniu wraz z przyjacielem pańskim Hope'm.

— Czy obawiasz się pan jakiej zdrady ze strony kapitana?

— Nie wiem co mógłby uknuć przeciw mnie, ale zawsze wolę być ostrożnym. Przytem nie będzie on sam, bo przybije do brzegu łódką w towarzystwie kilku majtków, lepiej więc, abym i ja nie był samotnym.

— Masz pan zupełną słuszność, to ptaszek któremu nie można ufać. — Jak pan myśli, czy niema on jakiego związku z ucieczką profesora?

— Zważywszy stosunek tych panów względem siebie — Hervey jest chyba ostatnim człowiekiem, któremu by się Bradock powierzył.

Wieczorem tegoż dnia Hope udał się do fortu, gdzie Random i Don Pedro oczekiwali już na niego. Poszli więc wszyscy trzej nad rzekę, a po drodze czuli się w obowiązku uprzedzić o wszystkim inspektora Date. Dowiedziawszy się o co chodzi, urzędnik oznajmił chęć towarzyszenia im.

— Mam podejrzenie — rzekł — że ten czło-

wiek musi coś wiedzieć o zbiegach, może coś z niego wydobędę.

Poszli więc we czterech do przystani, gdzie Hervey miał przybić swoją łódkę. — Noc była wyjątkowo jasna, gwałtowny wicher, który dał cały dzień rozprószył zupełnie wczorajszą mgłę. Księżyc oświecał zatokę i przystań, i widać było doskonale okręty stojące na kotwicy w pewnej odległości od brzegu. Don Pedro zaświeceł zapałkę i spojrzał na zegarek, była godzina ósma. Inspektor Date zwrócił jego uwagę na duży okręt, który trzymał się najbliżej wybrzeża. Był to prawdopodobnie statek Herveya, który widocznie śledził ich przez lunetę, bo za chwilę błysnął niebieski ogień, jako znak umówiony. — W odpowiedzi Don Pedro dał strzał z rewolweru.

— Na miłość Boską, poco pan strzelasz — zawołał Date — ściągniesz nam pan na kark cały posterunek, stojący na straży przy willi pani Jasher.

— Cóż robić, musiałem przecie odpowiedzieć na hasło.

— Wszyscy uzbroiliśmy się w rewolwery — dodał Hope. — Mając do czynienia z człowiekiem tego pokroju co Hervey, nie można być dość ostrożnym.

— Więc obawiacie się panowie walki? — spytał Date, śledząc pilnie ruchy statku, gdzie spuszczano właśnie szalupę. Nie sędzę, żeby przyszło do jakiego zajścia, ten człowiek obaczywszy mój uniform, uszanuje zapewne przedstawiciela władzy.

— Przedstawiciele władzy są chyba ostatnią rzeczą, którą szanuje Hervey — mogę ręczyć, że nie będzie sobie wiele robił z uniformu pańskiego — odparł Hope.

— Widzę moi panowie, że wciągnęliście mnie w czysto korsarską awanturę. Mam przecież nadzieję, że obejdzie się bez guzów. Pomimo wszystko liczę jednakże na powagę mego uniformu.

Pomieniony uniform nie podobał się jednak widocznie marynarzowi, bo dostrzegłszy metalowe guziki błyszczące przy księżycu, wydał rozkaz majtkom, którzy kilku ruchami wiosel cofnęli szalupę wstecz.

— Widzę Don Pedro, że przyprowadziłeś pan z sobą okazałą świtę — zawołał z łódki Hervey — a któż jest ten anioł w mundurze ze złotymi guzikami? Czy nie jaśnie wielmożny arystokrata?

— Nie — odparł Ransom, domyślając się, że ten malowniczy opis dotyczy jego osoby. Ja tu jestem wraz z przyjacielem moim Hope, a to pan inspektor Date.

— Wiesz już pan zapewne, co zaszło wczoraj w willi pani Jascher — rzekł inspektor.

— Wiem, ale to nie moja rzecz. Niech mi Don Pedro odda obiecane dolary, a wręczę mu dokument którego żąda.

— Przyjdź pan tu, a otrzymasz pieniądze — rzekł Don Pedro.

— Niema głupich — odrzekł Hervey — chcieliście mnie widzieć zakopertować, ale się wam to nie uda.

— Cóż znowu, kradzież popełniona przed trzydziestu laty, dziś już panu niczem nie grozi. Chodź pan tu bez obawy.

— Nie wierzę pańskiemu słowu, niech je potwierdzi arystokrata i tamten pan.

Hope i Random zaręczyli mu słowem honoru, że nie przygotowują żadnej zasadzki, wtedy kapitan zdecydował się wreszcie przybić do brzegu. Łódka zatrzymała się kilka kroków poniżej miejsca, gdzie stali czterej panowie, Hervey zaczął się wdrapywać powoli na stromy brzeg. W pół drogi zatrzymał się, żądając aby Don Pedro wyszedł na jego spotkanie. Inspektor tymczasem śledził podejrzliwie szalupę, i zauważył, że zatrzymała się jeszcze niżej niż w chwili wylądowania Herveya, w miejscu oznaczonem wetkniętym w piasek nad-

brzeżny słupem. Don Pedro wręczył pieniądze kapitanowi, który zdawał się rozmyślnie przewlekać sprawę. Zaczął liczyć starannie otrzymane dolary, wyrażając głośno wątpliwość, czy Don Pedro dał mu ich tyle, ile przyrzekł. Wprawiło to w straszny gniew hidalga, na co Hervey odpowiedział podobnie.

Wymienili wtedy cały szereg obelg w języku hiszpańskim, co bardzo ubawiło Rando i Archibalda Hope. — Inspektor Date dał poraż pierwszy w życiu dowód przenikliwości, nie spuszczać z oka szalupy. Kapitan śledził ją równie bacznie.

— Widzę — rzekł — że chcecie mi tu wypłatać jakąś paskudną sztukę, ale pamiętajcie, że mam przy sobie moją pukawkę. — To mówiąc, wyjął z zanadrza rewolwer.

— I ja także — odparł Don Pedro, sięgając do kieszeni. Nim jednak zdołał wydobyć swój rewolwer, Hervey w mgnieniu oka wziął go na cel. Widząc to Hope i Rando, wymierzili swoje rewolwery w głowę bandyty.

— Nie strzelajcie do dyabła, to był tylko żart — zawołał Hervey. A ty tam w mundurze gdzie znowu leziesz — wołał do inspektora Date, który leciał pędem do miejsca, gdzie przytwierdzona była szalupa, a przychyliwszy się mocno ku rzece zawołał:

— A co nie mówiłem! — Jest karzeł z mumią.

Usłyszawszy to Hervey, schował szybko pieniądze i klnąc straszliwie pobiegł w ślad za inspektorem Date, dopadłszy zaś go, uchwycił go w pól i skoczył wraz z nim do wody. Wpadli tuż obok łodzi i szamotali się na płytkiej wodzie, gdy tymczasem sternik kierujący szalupą odczepił ją z pośpiechem i usiłował zepchnąć na głębinę.

Hope, Random i Don Pedro, którzy przybiegli na pomoc inspektorowi, dojrzeli najwyraźniej w łodzi zieloną skrzynię z mumią, obok niej zaś Katoesa wyróżniającego się wśród majtków płomienistą swoją czupryną.

— Strzelajcie do łodzi! — krzyczał Date, usiłując wyrwać się z rąk Herveya — nie dajcie się im wymknąć.

Hope strzelił kilka razy, w nadziei, że ściągnie w ten sposób żołnierzy, strzegących domu pani Jasher położonego w pobliżu miejsca walki. Random posłał także parę kulek w stronę łodzi, na co odpowiedziano mu w podobny sposób. Wkrótce dały się słyszeć kroki biegnących żołnierzy, i kilku agentów wpadło na wybrzeże. Widząc to majtkowie w łodzi, zdwoili wysiłki, wiosłując zapamiętale. Szalupa ruszyła szybko, ale w chwili, gdy przepływała obok przystani, Don Pedro ujrzawszy

zieloną skrzynię, wskoczył bez namysłu w sam środek łodzi.

Kakatoes trzymał się konwulsyjnie sarkofagu. Don Pedro zaś strzelał raz po raz broniąc się tym, którzy chcieli go wyrzucić. — Random, Hope i agenci nadbiegli mu na pomoc, szalupa zaś stała w miejscu, kołysząc się na wodzie.

— Wyrzucie negra z mumią, sami płynicie do statku — zawołał nagle Hervey.

Rozkaz ten wykonany został bez litości. Dwanaście rąk pochwyciło opierającego się Kanaka i wrzuciło go do wody; za nim spuszczone sarkofag z mumią.

W tej chwili Don Pedro, który strzelał bez przestanku, trafił przypadkiem zieloną skrzynię. Kula przebiła wieko i o dziwo! Z wnętrza sarkofagu dał się słyszeć krzyk wściekłości i rozpacz.

— Wielki Boże! — zawołał Hope — lękam się, że to Bradock ukrywał się w tej przeklętej skrzyni.

Hervey tymczasem dopłynął do łodzi i wyrzucił z niej natychmiast Don Pedra — a szalupa ulżywszy sobie ciężaru, pomknęła szybko w stronę statku.

Posłano jeszcze za nią parę kul, które jej nie zaszkodziły. Inspektor Date brnąc po pas w wo-

dzie, doścignął Kakatoesa, który nie opuszczał zielonej skrzyni, agenci przybiegli mu na pomoc i po nadludzkich wysiłkach udało się im wreszcie pojąć Kanaka, który bronił się zaciekle, z jakąś szatańską siłą. Wywleczono go na brzeg razem z jego ciężarem, a gdy na żądanie Hope'a odbito wieko sarkofagu, znaleziono w nim martwe zwłoki profesora Bradock. Kula Don Pedra przeszła mu serce, i leżał trupio blady w świetle księżyca, jakby już od wieków spoczywał w nieszczęsnym sarkofagu, który był przyczyną tylu zbrodni. Na ten widok Kakatoes wyrwał się z rąk agentów i rzucił się zrozpaczony na ciało swego pana, wydając dzikie i żałosne jęki.

Hervey dopłynął tymczasem do swego statku, i wnet przeciągły gwizd oznajmił odpłynięcie »Lucylli« na morze południowe.

Tak przewrotny Bradock zapłacił dług swój światu, ale Hervey jak na teraz uniknął sprawiedliwości ludzkiej.

Epilog.

Kakatoes został oddany pod sąd, a proces jego wyświetlił niektóre ciemne jeszcze punkta historii zielonej mumii. Okazało się, że po morderstwie dokonanem na pani Jascher, dziki karzeł przekonawszy się, że nie jest już w jego mocy zniszczyć piśmienne jej zeznania, uprzedził swego pana o tem co zaszło, i nakłonił go do ukrycia się w zielonym sarkofagu, skąd usunięto mumie, ukrywając ją w muzeum profesora.

Bradock z pomocą wiernego Kakatoesa, przeniósł do przystani zieloną skrzynię i ukrywał się wraz z nią w nadbrzeżnej grocie przez całą noc i dzień po morderstwie. Przez ten czas Kanak układał się z Hervey'em, który za wynagrodzeniem tysiąca funtów zgodził się przyjąć zbiegów na swój pokład. Rzecz cała udałaby się zapewne, gdyby nie przypadkowa interwencya inspektora Date, który święcił w tej sprawie pierwszy swój tryumf.

Kakatoes uznany został jednogłośnie winnym podwójnego morderstwa spełnionego z rozmysłem. Skazano go na powieszenie, a wyrok został wykonany. W sześć miesięcy potem Don Pedro odpływał do Limy, uwożąc z sobą zielony sarkofag zawierający szczątki Inki Kaksasa.

Na wiosnę tegoż roku, Frank Random i jego żona spotkali się w San Remo z panem i panią Hope. Lucya została żoną Archibalda i spędziła z nim miodowe miesiące na południu. — Donna Inez wypiękniała jeszcze, a posągowa jej twarz nabrała więcej ciepła i życia. Obie młode kobiety zaprzyjaźniły się serdecznie, a gdy państwo Random odjeżdżać mieli własnym jachtem do Ameryki południowej, zapraszali usilnie państwa Hope, by zechcieli towarzyszyć im w tej podróży. Młodzi małżonkowie uchylili się jednak od zaproszenia.

— Wolimy zostać w San Remo — mówiła Lucya, rumieniąc się lekko — nie bierz mi tego za złe droga Inez, ale nie mogłabym w żaden sposób przebywać choćby na krótko w Peru. Sama nazwa tego kraju, przywodzi mi na pamięć okropne wspomnienia zielonej mumii.

— Mumia już nie znajduje się w Limie — odparła Inez. — Ojciec mój kazał ją złożyć w starożytnym grobowcu, gdzie leżała przed laty, po-

grzebana tam przez wiernych poddanych Inki Kaksasa.

— Jedziemy z żoną — dodał Random — do czarodziejskiego miasta w uroczej dolinie Andów, gdzie rządzi dziś jeszcze Don Pedro, jako ostatni potomek Inków.

— Jeżeli odmawiacie nam dziś — rzekła ujmująco lady Random — to za to zechciejcie odwiedzić nas w Oksfordshire, gdy powrócimy z mężem do Anglii.

— Tak, tak — wtórował jej Frank — żona moja będzie już wtedy dzielną angielską wieśniaczką — a ja uczciwym rolnikiem.

— A twój pułk? — pytał zdziwiony Hope.

— Mąż mój podał się do dymisji na moją prośbę, służba wojskowa trzymała go za często zdala odemnie.

Nazajutrz państwo Hope odprowadzili na statek lorda i lady Random, a pożegnawszy ich, gonili długo wzrokiem wykwintny parowiec uwożący młodą parę.

— Czy nie żałujesz droga, żeś się wyrzekła tej podróży? — pytał Archibald Lucy.

— Nie żałuję nigdy niczego, gdy jestem przy tobie — odparła młoda kobieta.

— Cóż to będzie dopiero, gdy zostanę preze-

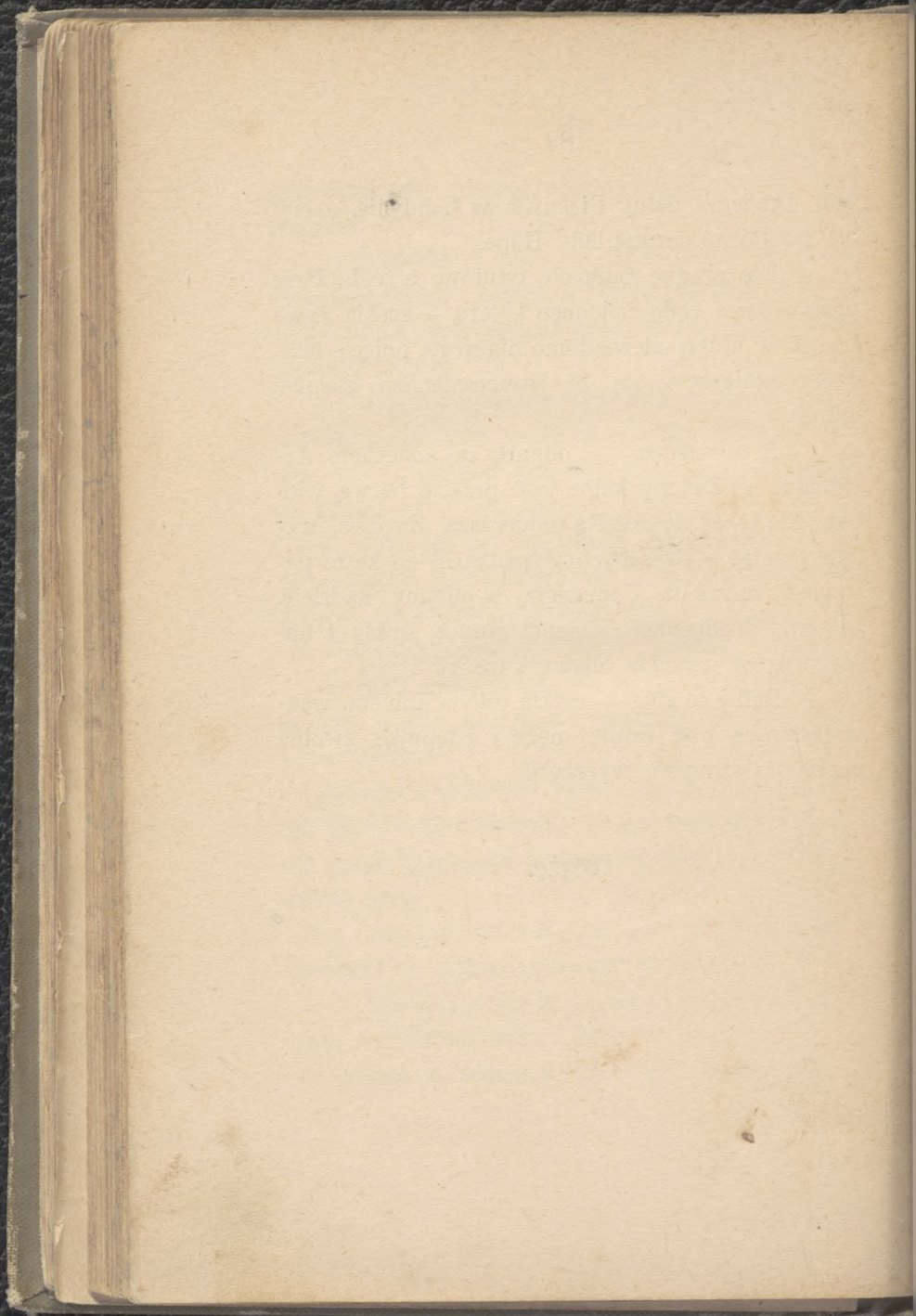
sem Akademii Sztuk Pięknych w Londynie, a ciebie tytułować zaczną lady Hope.

— Nie pragnę żadnych tytułów, a całe życie nienawidzić będę zielonego koloru — rzekła żywo Łucya, w której niewiadomo dlaczego, pojęcie akademii skojarzyło się ze wspomnieniem zielonej mumii.

— A to szkoda — odparł ze śmiechem Archibald. — Zielony kolor jest przecie barwą wiosny. Nie lękaj się zresztą najdroższa. Za dwa, trzy lata pamięć o strasznych wypadkach, na które patrzyłaś, zatrze się i rozwieje, a miejmy nadzieję, że wraz z odjazdem zielonej mumii, znikły z naszego życia wszelkie obawy i troski.

— Dałby to Bóg — rzekła młoda kobieta, wsuwając rękę pod ramię męża i zstępując z wolna z nim po stromem wybrzeżu.

KONIEC.



SPIS RZECZY.

	Str.
I. Zakochani	1
II. Profesor Bradock	10
III. Tajemniczy grób	17
IV. Straszna niespodzianka	23
V. Tajemnica	30
VI. Śledztwo	39
VII. Kapitan Hervey	50
VIII. Baron Frank Random	59
IX. Plany pani Jascher	67
X. Peruwiański hidalgo i jego córka	73
XI. Rękopism	79
XII. Nowe odkrycie	84
XIII. Z tajemnicy w tajemnicę	88
XIV. Zwrot nieprzewidziany	96
XV. Oskarżenie	102
XVI. Jeszcze rękopism	107
XVII. Przypadkowy zbieg okoliczności	114
XVIII. Odkryty	119
XIX. Obok prawdy	126
XX. List	132

	Str.
XXI. We własnych siłach	137
XXII. Podarek ślubny	145
XXIII. Nowy mord	150
XXIV. Wyznanie	157
XXV. Wyroki Boskie	167
XXVI. Nad rzeką	175
Epilog	186



1-25
72052 1113

Popk
2-

1719/7

65

składowa

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001018026526

652659859

1.981.144 Cinn.

WE LWOWIE
NAKŁADEM KSIĘGARNI
H. ALTENBERGA.